

Z myślą o wspólnej rodzinie

KTÓRE to już święta od zakończenia wojny?

Zaczynam liczyć i wychodzi mi, że w tej części ziemi polskiej, która wyzwolona została latem i jesienią 1944 roku — są to już jedenaste święta. W całej reszcie kraju z Warszawą na czele, aż po Bałtyk, Odrę i Nysę zbieramy się przy choince świątecznej po raz dziesiąty.

Same cisną się słowa: jak ten czas leci!

Ręka mimowolnie poprawia włosy: ba, przeczuli się, posrebrzyły od tamtych pierwszych świąt, kiedy jeszcze brzmiał w uszach, w pamięci, w mózgu huk wojny i nienawistny wrzask najeźdźcy, a jutro rano nowego życia dopiero zaczynała wschodzić. Tak, czas szybko idzie. Myśl o nieubłaganym jego biegu nie należy do najweselszych, a dziś przecież święta — i nie pora na takie rozmyślanie.

Spójrzmy więc na dzieci. Im także lat przybyło, ale to jest całkiem co innego. To jest radość dla oczu i serca, gdy się widzi, jak z malej Joasi i Michałka, Kasi czy Andrzejka powyrastały już spore dzieciaki, albo zgoda dziewczęta i chłopcy jak się patrzy. Wszędzie niosą ze sobą ruch, gwar, śmiech — i świadczą samym swoim istnieniem nie o przemianach, lecz o młodości życia.

W święta dłużej mamy dzieci w domu, przy sobie i więcej jest czasu, aby pomyśleć, pogawędzić właśnie o nich, o rodzinie.

W zwykłe dni, tygodnie, miesiące pochłania nas praca zawodowa, działalność społeczna, codzienne niemałe troski życiowe i — powiedzmy to sobie — wielu z nas za mało starania i myśli poświęca wychowaniu i rozwojowi swoich dzieci. Szkoła i organizacja młodzieżowa, czyli państwo i społeczeństwo, to pomoc niemała, ale nikt nie zdejmuje z ramion rodziców odpowiedzialności za to, by ich dzieci wyrósł na ludzi dobrych i dzielnych, na obywateli poży-

tecznych dla tej wielkiej rodziny, którą jest nasz kraj i naród, nasze państwo ludowe.

W dni świąteczne porozmawiajmy, pomyślmy o tym, by w następnym roku, który idzie, zwiększyło się nasze własne staranie o wychowanie dzieci, zacieśniła współpraca ze szkołą, z organizacją ZMP-owską. Do zrobienia jest dużo, a przecież wtedy tylko można z nie zamąconym niczym radością patrzeć na dzieci — i w czas świąteczny i w dni powszednie — gdy się wie: czyniłem i czynię wszystko, aby z nich wyrósł człowiek, jakich Polsce potrzeba.

Jest to jednocześnie sprawa i rodzinna, i ogólna — społeczna. Dużo mamy młodzieży słabej, chętniej, ideowej, ofiarnej, a chcemy, aby taka była cała nasza młodzież. Wielka jest troska partii, państwa i społeczeństwa o to, aby uchronić młodzież przed szkodliwymi wpływami, które — niczym brudne fale rzeki — niosą ze sobą chęć użycia za wszelką cenę, cynizm i egoizm, chamstwo i chuligaństwo. Czyż może budzić w kimkolwiek wątpliwość ta prawda, że od nas, rodziców, od naszej współpracy ze szkołą i ZMP zależy w wielkim stopniu należyte wychowanie milionów polskich dziewcząt i chłopców?

W DNI świąteczne niejedna będzie okazja, by spotkać się z przyjaciółmi, ze znajomymi, z sąsiadami. Nie zbraknie i innych tematów do rozmowy, a będą to nie tylko sprawy prywatne, osobiste, ale także i szersze — wspólne całemu narodowi. Ostatnimi czasy obserwujemy bardzo pomyślne zjawisko, mianowicie znacznie zwiększoną i rozszerzoną na nowe miliony ludzi ciekawość dla spraw publicznych. Mało powiedzieć: ciekawość. Jest to również chęć aktywnego uczestnictwa w życiu kraju, jest to świadomość współodpowiedzialności każdego z nas za to, co się dzieje nie tylko w naszym zakładzie pracy, ale także w naszej dzielnicy, czy gromadzie, w naszym powiecie czy województwie. To jest właśnie postawa obywatelska. Na drugim krańcu staje bierność i obojętność, którą dobrze określił jeden z młodych satyryków słowem: abotomizm — słowem powstałym z krążącego tu i ówdzie powiedzonka: a bo to moje? Tylko człowiek bez poczucia społecznego, tylko człowiek, nie rozumiejący, że jedynie rękami i głową wszystkich obywateli można osiągnąć w Polsce dobrobyt i powiększać jej siłę — tylko taki człowiek obojętnie przechodzi obok marnotrawstwa, brakoróbstwa, złodziejstwa — i powiada: a bo to moje? Co mnie to obchodzi?

Rzecz w tym, abyśmy rugowali z naszego życia abotomizm i rozwijali w sobie i w innych obywatelską postawę, której główną cechą jest niegodzenie się z każdym złem i troska o wspólne dobro społeczne, o wspólny dom — państwo ludowe. Żeby nam się żyło lepiej — a żyje się niałatwo — trzeba nam więcej gospodarności i

wyższej kultury pracy, lepszej i tańszej produkcji, podniesienia plonów naszej ziemi, niższych jeszcze niż w wielu innych krajach. Nie spadnie nam bowiem manna z nieba. Sami ją musimy wytworzyć.

TAK jest również ze sprawą pokoju i wojny. To rzecz ludzka i kłamstwem jest wszelkie gadanie o fatalizmie wojny, o tym, że nie od ludzi zależy, aby wojny nie było. W ciągu minionych 10 lat nierzadko ci, którzy na wojnie zarabiają i do wojny dążą, rozniecali niebezpieczne ogniska światowej zawieruchy. Płonęła ogniem Korea i Wietnam, podejmowane były próby atomowego i wodowego szantażu, którego pierwszą ofiarą padli spokojni rybacy japońscy. A przecież siła i pokojowa polityka krajów socjalizmu, siła i polityka Moskwy i Pekinu, Warszawy i Pragi, Pchianu i Hanoi, siła i polityka, wyrażająca pragnienie ogromnej większości ludzi we wszystkich państwach, niezależnie od ustroju, siła i polityka, popierana przez miliony Francuzów, Włochów, Niemców, Hindusów, Japończyków — ugasila ogień w Korei i w Wietnamie, roziała złudzenia o amerykańskim monopolu na broń atomową i wodorową.

Okazało się nierzadko w ciągu minionych 10 lat, że narody, stawiające czynny opór wojnie, są w stanie przekreślać wojenne plany.

Plany te nie zostały zarzucone. Po długich przygotowaniach imperializm amerykański kładzie teraz na stół kartę hitlerowskiego Wehrmachtu. Jest to gra niebezpieczna, ale walcząca z polityką wojny państwa i narody nie są tym zaskoczone i nie są nieprzygotowane. Mają dwa wielkie atuty: słusność i siłę. Reprezentują żywotny interes ogromnej większości ludzi. Są zdolne i tym razem również zapobiec wojnie, bo to jest rzecz ludzka i od ludzi zależna.

Ze spokojem i ufym spojrzeniem w przyszłość zasiadamy do świątecznego stołu — z myślą o swojej rodzinie, z myślą o naszej wspólnej rodzinie, którą stanowi naród. Z myślą o pokoju, który zwycięży. **Kor.**



Na przełaj przez Polskę

Po niezatartych śladach

(Od naszych specjalnych wysłanników)

— Proszę o dokumenty!...

Czechosłowacki celnik leniwym ruchem wyciągnął rękę. Na moście cieszynskim układał się zmierzch. Po obu stronach rzeki lśniły światła. Młody człowiek w zmierzchu ubranu niezdarnie grzebał w kieszeniach, szukając przepustki. W cieniu pasiastej budki skrył podejrzenie wypchaną teczkę. Poszukiwania w kieszeniach nie dały rezultatu. Celnik surowym wzrokiem śledził dziwnie rozchwyane ruchy...

— Proszę o dokumenty!... — rzucił niecierpliwie i znacznie bardziej urzędowo.

Mężczyzna bezradnie rozłożył ręce. Nagle, jakby sobie coś przypominając — pochylił się i zaczął otwierać teczkę. Celnik, wiedziony urzędową ciekawością, zajrzał do środka. Była pełna

czarnych, ubrudzonych ziemią skoni, jakie często widywał na śmietnikach. Równocześnie zaleciał go młoty, dobiły zapaszek czeskiej śliwowieczki. Mężczyzna zaczął wyjmować owe potłuczone garbki i rozkładał je pieczołowicie na chodniku przed posterunkiem. Celnik z coraz większym zdumieniem patrzył na tego dziwnego przemysłowca — że jest podchmielony, to widać, ale jeszcze cudak! Ten zaś przykucał nad skorupami, najpierw niezbyt składnie jął prawicę niezrozumiałe rzeczy. Jakoby z tych skorup — trzymał akurat w ręku kawałek garnka z uchem — tysiąc lat temu pito wino i to lepsze niż dzisiejsze, że w innej skorupie sycono miod. Podtykał celnikowi pod nos obłupany dzbanek. Wcale miodem nie pachniał, raczej ową śliwowieczką.

— Patrz, soludruhu, na te resztki — to cenniejsze od złota słowiańska ceramika. Słyszysz? Złoto przez granicę niosę.

Celnik raz jeszcze zażądał dokumentów, ale niezadowolony nie słuchał, porwany własnym opowiadaniem — o Czechach i Polakach, o spalonym grodzie nad Olzą, i znów powrócił do napitku, zachwalając chmienne piwo słaskich Słowian. Później spoważniał i celując w pierś celnika, powiedział: — Archeologia czyta z ziemi jak z księgi. Pamiętaj pan — jak z księżeczki. Celnik już udobruchany, a nawet i trochę zaciekawiony tym zdaniem, powtórzył, ale już zupełnie łagodnie, czy nie mógłby obejrzeć dokumentu. Wówczas mężczyzna, wskazując rozłożone szczątki, odparł: — A te dokumenty panu nie starczą? Tysiąc lat mają. Pewne, szanowny panie, pewne jak żadne. O fałszu nie ma mowy — słowiański wzór.

Nikogo w pobliżu nie było. Celnik machnął ręką. Nieznajomy, nieco się zataczając, pomaszerował przez most.

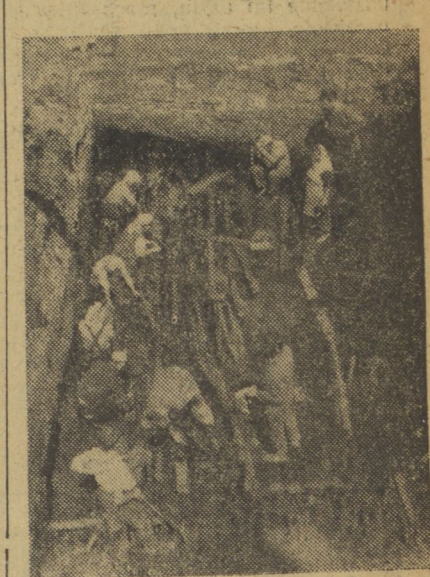
— Proszę o dokumenty!...

Wopista na moście wolińskim przywitał nas tym sakramentalnym wśród pograniczników zwrotem. Uważnie zajrzał do samochodu. Dojrzał widocznie mgr Filipowiaka, bo uśmiechnął się przyjaźnie i rzekł: — A — to pan archeolog. Myślałem, że już panowie wyjechali, smutno będzie.

Ramię szlabanu uniosło się w górę. Wtedy magister zabawnie przymrużył oko. — Widzicie, mam szczęście do straży granicznej, pamiętacie jak opowiadałem tę historię, która mi się zdarzyła na moście w Cieszynie, gdy kierownik tamtejszych prac wysłał mnie na stare grodzisko za Olzą. Wtedy miałem przepustkę, lecz po przyjęciu u czeskich kolegów gdzieś mi się zawieruszyła. Byłem zresztą tak wniebowzięty... tymi skorupami, że cała reszta wydawała mi się mało ważna.

Leniwa, bagnista Dziwna oddziela wyspę wolińską od stałego lądu. Miasteczko Wollin, od którego wyspa ma

nazwę, rozkłada się na wzgórzu, płaskim jak taroza. Teraz, Wollin trudno nazwać miastem. Na kopistych usypiskach gruzu rośnie dziki bez, obwieszony kłociami czarnych owoców, brzoźki i kepy zielonej toziny. Nad śladami miasta góruje ściana potłuczonych garbki i rozkładają się pieczołowicie na chodniku przed posterunkiem. Celnik z coraz większym zdumieniem patrzył na tego dziwnego przemysłowca — że jest podchmielony, to widać, ale jeszcze cudak! Ten zaś przykucał nad skorupami, najpierw niezbyt składnie jął prawicę niezrozumiałe rzeczy. Jakoby z tych skorup — trzymał akurat w ręku kawałek garnka z uchem — tysiąc lat temu pito wino i to lepsze niż dzisiejsze, że w innej skorupie sycono miod. Podtykał celnikowi pod nos obłupany dzbanek. Wcale miodem nie pachniał, raczej ową śliwowieczką.



Prawdopodobna ziemia odkrywa tajemnice

linowi — tylko ten uparty deszcz, smutne stare lipy, liście gnane wiatrem, mokre kamienie obrosłe trawą. Lecz nie poskapiła blasku historia. Historia jest skarbem Wollina i jego życia.

Przez wieki wokół miasta kołowały dziesiątki legend. O złotych dzwonach, bijących z głębin, o korsarskich wyprawach i skarbach ukrytych w ziemi, o białym mieście za-

(DOKOŃCZENIE NA STR. 5)

Konstanty I. Galczyński

WESOŁA GWIAZDKA

Zakochani idziemy pod rękę pod światłem Wielkiego Wozu. A pamiętasz czarną udrękę, gdy listy pisałem z obozu?

W snach: jedynie widziałem wtedy twoje oczy, Wisłę i most — o, dni pełne strachu i biedy, o, Kriegsgefangenenpost.

Tyle lat zmarnowanych w udręce — jak dwie siostry: groza i nuda. Księżyc wisił jak srebrne serce na niemieckich kółkach drutach;

rzekę bólu do dna wtędył pojął i plynęły noce i dni, z widziadami w niemieckim gnoju lub na przyczach w Strafkompagnie.

A dziś przynosi noc nam pocatunki i winogrona i szumi jak wieczna wiosna flaga, flaga biało-czerwona...

I znów ta uliczka pochyła i tych kłód pod śniegiem rzęd. Wesołych Świąt, moja miła. Miła moja! „Wesołych Świąt!”

Czytelnikom, Korespondentom i Przyjaciółom naszego pisma oraz wszystkim ludziom pracy w Polsce składamy serdeczne życzenia miłego wypoczynku i wesołych Świąt
zespół „Życia”

Następny numer „Życia” ukaże się w poniedziałek 27 grudnia



Z nowej teki Kobzdeja

Dziś w numerze:

Na str. 3
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ:
KWIAŁY POLSKIE
EDMUND OSMANCIK:
MOSKWA — WARSZAWA
WŁADYSŁAW KOPALINSKI:
ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

Na str. 4
TADEUSZ DREWNOŃSKI:
DZIEŃ DZISIEJSZY W NOWELI
GRZEGORZ JASZUŃSKI:
POWAŻNIE O „COMICSACH”

Na str. 5
JERZY BROSKIEWICZ:
Z OPOWIADAŃ
DOBRODUSZNEGO PRZYJACIELA

Na str. 6
ŚWIAT SIĘ ZMIENIA

Na str. 8
NOWY KONKURS
HUMOR

Głosy ostrzeżenia, protestu, niezdecydowanego poparcia

Debata ratyfikacyjna we Francji

PARYŻ (PAP). — Na posiedzeniu dnia 22 bm. toczyła się dalsza debata w sprawie ratyfikacji układów

Jak już donosiliśmy, w imieniu grupy komunistycznej wygłosił przemówienie Jacques Duclos.

Przemówienie J. Duclos

PARYŻ (PAP). — 21 bm. w toku debaty we francuskim Zgromadzeniu Narodowym przemawiał sekretarz Francuskiej Partii Komunistycznej J. Duclos.

Duclos podkreślił niebezpieczeństwo zagrożenia Francji wskutek uzbrajania odzwetowanych niemieckich i obalili argumenty Mendes-France'a, który usiłuje dowiedzieć, że remilitaryzacja Niemiec zach. jest nieunikniona.

Nikt nie będzie twierdził poważnie — mówił Duclos — że remilitaryzacja Niemiec zach. może nastąpić bez zgody Francji. Oznajmił to zresztą wyraźnie premier Mendes-France w przemówieniu wygłoszonym swego czasu w Nevers. Dziś jednak forsuje on remilitaryzację Niemiec zach.

Następnie sekretarz FPK zaznaczył, że koła rządzące myślą się głęboko, jeśli przypuszczają, że po ratyfikacji układów paryskich będą mogli rokować ze Związkiem „z pozycji siły”. Jeśli chodzi o „pozycję siły”, to taką pozycję zajmie po ratyfikacji układów paryskich Adenauer wobec Mendes-France'a, a to przede wszystkim dzięki pomocy amerykańskiej. Zresztą ci, którzy skłaniają dziś Mendes-France'a do przeforsowania ratyfikacji układów paryskich, nie ośmielają pozbyć się go z chwilą, gdy układy będą ratyfikowane.

Trzeba — oświadczył Duclos — myśleć przede wszystkim o bezpieczeństwie Francji i o zapewnieniu pokoju. Jeśli nie troszczy się o to rząd i parlament, to myśli o tym naród francuski.

Omawiając postanowienia układów paryskich dot. zbrojeń atomowych, Duclos podkreślił, że są one przede wszystkim zbrojną handlarzy broni.

W zakończeniu Jacques Duclos oświadczył:

Cały naród francuski protestuje stanowczo przeciwko ponownemu uzbrojeniu militarnym niemieckich.

Nie wolno więc ratyfikować układów paryskich! Trzeba rozpocząć rokowania! Domaga się tego naród francuski.

Byli kierownicy wywiadu Niemiec zach. proszą o azyl w NRD

BERLIN (PAP). 16 bm. przybyli do demokratycznego sektora Berlina b. kierownik wydziału wywiadowczego „urzędu Blanka” (nieoficjalne białe ministerstwo wojny) — F. Heinz oraz b. kierownik zachodnioberlińskiej służby wywiadowczej „urzędu Blanka” — J. Kolb. Zwrócili się oni do władz NRD z prośbą o udzielenie im azylu, przekazując jednocześnie szereg dokumentów dotyczących działalności „urzędu Blanka” oraz organizacji szpiegowskiej Gehlena.

Heinz i Kolb przedkładają swą prośbę władzom NRD, stwierdzili, że nie zgadzają się z ostatnimi posunięciami politycznymi Adenauera.

Władze NRD udzieliły azylu Kolbowi, natomiast odmówiły tego prawa Heinzowi, jako jednemu z uczestników zamachu w 1921 r. na ówczesnego kanclerza Rzeszy Erzbergera oraz w 1922 r. na ministra spraw zagranicznych Republiki Weimarskiej W. Rathenaua.

Pierre Courtade pisze z USA

Trudna i skomplikowana walka

Stanowisko wielkich związków zawodowych wobec sprawy pokojowej współistnienia może być decydującym czynnikiem w rozpoczętej walce o nową orientację polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych.

Obecne kierownictwo A.F.L. (American Federation of Labour — Amerykańska Federacja Pracy) jest zdecydowanie przeciwnie „współistnieniu” pod jakąkolwiek formą. Tacy ludzie jak przewodniczący Federacji George Meany i sekretarz generalny Jay Lovestone należą do najawizyjniejszych zwolenników antyradyckiej krucjaty. Głoszą oni w dalszym ciągu politykę „aktywną”, politykę „obalenia” przez tajną działalność, politykę „czterech dni” w Berlinie.

Kierownictwo innej wielkiej centrali związkowej C.I.O. (Congress of Industrial Organizations — Kongres Organizacji Przemysłowych) nie jest wcale więcej warte, chociaż zajmuje stanowisko mniej wyraźne.

Jednakże nawet w kierownictwie związkowym daje się zauważyć pewną opozycję przeciw polityce krucjaty. Tak np. dziennik jednego z wielkich związków należących do A.F.L., związków pracowników przemysłu maszynowego ogłosił niedawno bardzo gwałtowny artykuł przeciw Meany'emu a za pokojowym współistnieniem. Artykuł ten stawia problem całkiem wyraźnie: „ZA WSPÓŁISTNIENIEM CZY PRZECIWI?”

Jeden z największych związków AFL — związek hotelarski również

nocnym z 21 na 22 bm. i w ciągu we francuskim Zgromadzeniu Narodowym.

Powszechnie rozbrojenie — gwarancją bezpieczeństwa

Maurice Schuman (MRP) krytykował układy paryskie nie dlatego, by nie zgadzał się w ogóle na uzbrojenie Niemiec zach., lecz dlatego, że uważa, iż przywrócenie Niemcom zach. armii powinno być następstwem w ramach takiego „systemu europejskiego”, jaki był przewidziany w EWO.

Ostatnim mówcą podczas nocnej debaty był radykal Faure. Opowiedział się on za układami paryskimi i za rokowaniami ze Wschodem dopiero po ich ratyfikacji.

22 bm. rano obrady zostały wznowione.

Pierwszy zabrał głos socjalista Jules Moch.

Mówca stanowczo odrzucił postawioną tezę o „agresywności” Związku Radzieckiego, podkreślając, że Związek Radziecki pochłonięty jest pokojowym budownictwem i produkcją towarów powszechnego użytku i że w ostatnim roku znacznie zredukował swój budżet wojskowy.

J. Moch stwierdził, że uchwała Zgromadzenia Narodowego w sprawie układów paryskich wywrze głęboki wpływ na sytuację międzynarodową. Moch przeciwstawił się argumentowi, jakoby Ameryka mogła uzbroić ponownie Niemcy zach. bez zgody Francji. Określił on ten argument jako część kampanii mającej wprowadzić w błąd łatwowiernych deputowanych.

W tym miejscu przeciwko wypowiedziom Mocha zaprezentował z ław rządowych premier Mendes-France.

Dalej Moch, jako przedstawiciel Francji w Komisji Rozbrojenia ONZ, poruszył problem broni atomowej i sprawę rozbrojenia. Zwrócił on uwagę na groźne konsekwencje, jakie miałyby wybuch wojny atomowej. Wystarczyłoby — przestrzegł mówca — 15 bomb wodorowych, aby spowodować zagładę całej ludności Francji. Zdaniem Mocha, rozwój nowoczesnej techniki wojennej czyni właściwie anachronizmem układy paryskie jako środek zapewnienia bezpieczeństwa.

Jedyną prawdziwą gwarancją bezpieczeństwa — powiedział Moch — może być powszechne i kontrolowane rozbrojenie. Należy więc kontynuować wysiłki podjęte w tym kierunku na terenie ONZ.

Ludność stoi przed wyborem — rozbrojenie albo zagłada.

Następnie przemawiał Mendes-France. Korespondent Associated Press podaje, że premier francuski nie mógł ukryć pewnego zaniepokojenia z powodu licznych zastrzeżeń, jakie wysunęli również jego zwolennicy. Premiera irytowała — jak pisze Associated Press — perspektywa, że wielu z deputowanych prawicowych, jeśli nawet nie będzie głosowało przeciw układom, może powstrzymać się od głosu. Mówca nalegał na to, by Zgromadzenie ratyfikowało układy paryskie możliwie największą liczbą głosów. „Oświadczałem z całą powagą — mówił Mendes-France — że uchwała powzięta niewielką większością Zgromadzenia Narodowego miałaby w najbliższej przyszłości to samo znaczenie, co odrzucenie układów”.

Na posiedzeniu popołudniowym 22 bm. zabrał m. in. głos deputowany MRP Pierre de Chovigne, który powtórzył krytyczne uwagi swych poprzedników z tego stroniczka. Oświadczył on m. in., że układy paryskie utrzymują kraje Europy kontynentalnej w stanie słabości, że nie

nie mogą być gwarancją bezpieczeństwa, że nie mogą być gwarancją bezpieczeństwa, że nie mogą być gwarancją bezpieczeństwa.

W każdym razie nie trzeba zapominać, że są one poddane coraz brutalniejszemu atakowi a nawet zagrożone po prostu rozwiązaniem.

dają one tym krajom możliwości dysponowania lotnictwem strategicznym i bronią termojądrową. Zdaniem mówcy, „europejska wspólnota obronna” mogła zapłacić tę lukę.

Następnie przemawiał deputowany Palewski (gaullista). Wykazał on, że ponowne uzbrojenie Niemiec, nawet przejściowo ograniczone, jest niebezpieczne, że ratyfikacja układów paryskich pociągnie za sobą poważne następstwa, że rokowania ze Wschodem „nie dadzą tych samych wyników, gdy Niemcy odzyskają już swoją armię”.

Mówca nie występuje jednak w konkluzji przeciwko ratyfikacji układów, lecz zgłasza wniosek o odroczenie wcielenia w życie układów paryskich do 1 grudnia 1955 r. Proponuje on, by przed tą datą nie dokonywano wymiany dokumentów ratyfikacyjnych.

Paul Reynaud, pełniący obecnie funkcje przewodniczącego komisji budżetowej, oświadczył, że „układy paryskie dają hegemonię polityczną Anglii i hegemonię militarną Niemcom zach.” Pomimo tych i różnych innych zastrzeżeń, mówca oświadcza w konkluzji, że „skoro, jak się zdaje, nie ma zastępczego rozwiązania” — nie będzie głosował przeciwko układom paryskim.

Daladier — przeciw układom

Na trybunie wstąpił następnie deputowany radykalny b. premier Daladier. Zapowiedział on na wstępie, że nie będzie głosował za układami paryskimi. W przeszło godzinny przemówieniu Daladier wyraża obawę, że ratyfikacja tych układów pogłębiłaby rozbił Europei. Niepokoi go również układ w sprawie Zagłębia Saary.

Daladier ubolewa z powodu zniesienia klauzul dotyczących dekaratyzacji. Niepokoi się on, że Niemcy zach. zdolają uniknąć kontroli nad swoimi zbrojeniami.

Układy paryskie przewidują półmilionową armię w Niemczech zach.

Tadeusz Drewnowski i Wiktor Woroszyński telefonują z Moskwy:

10,5 miliona książek polskich w ZSRR

Dalsza dyskusja na Zjeździe Pisarzy Radzieckich

22 grudnia na przedpołudniowym posiedzeniu uczestnicy Zjazdu Pisarzy Radzieckich kontynuowali dyskusję nad referatem A. Surkowa i koreferatami. Zabierali głos m. in.: znany badacz literatury prof. D. Bagań, sędziwa pisarka Anna Karajewa, prozaik i dramaturg ukraiński W. Sobko.

W. Sobko dołączył swój głos do wcześniejszych wypowiedzi obrońców satyry (jak S. Michajłow) przed tymi, którzy pragną narzucić jej niepotrzebne ograniczenia.

Poeta tadżycki, Mirzo Tursun-Zade zajął się kwestią asymilowania klasycznej tradycji wschodniej przez współczesną poezję republik Azji radzieckiej. Przechodząc do spraw ogólniejszych, mówca oświadczył: Wielkie słowa powinny wyrażać tylko wielkie uczucia. Zbyt często jeszcze nasze słowa nie pokrywają się z treścią — o wiele od nich mniejszą.

Po raz drugi wystąpił dziś Flodor Gładkow z repliką na wczorajsze przemówienie Michała Szolochowa. Nie powinien mieć miejsca na Zjeździe tego rodzaju napaści osobiste — mówił Gładkow — nie licują one ani z powagą Szolochowa, ani z partyjnym poczuciem odpowiedzialności za słowo.

Zjazd Pisarzy Radzieckich witali

niem przy zasładowaniu antykomunistycznej ustawy, którą rozpatruje obecnie Najwyższy Trybunał. Za obecnie jest jeszcze na przeszkodzie kolei wielki, która będzie niesłychanie ożywiona.

TO NIE JEST PROSTE...

Aby obraz był trochę pełniejszy trzeba zdać sobie sprawę z pewnego faktu — na pierwszy rzut oka dość dziwnego. W wielu wypadkach opór przeciw polityce „współistnienia” objawia się znacznie żywiej w kierowniczych kołach związków zawodowych niż u pracodawców. Antyradyckie socjaldemokratyczne kierownictwo niektórych związków jest jeszcze bardziej wściekła niż u „bosów”.

Oto przykład: Dubiński, przywódca jednego z najsilniejszych związków pracowników odzieżowych, którego członkowie po większej części są Żydami, jest jednym z najohojniejszych podopiecznych w USA, natomiast wielu amerykańskich i radzieckich senatorów, z Polnina, reprezentujących interesy wielkich producentów bawełny, otwarcie wypowiada się za szukaniem „modus vivendi” ze Związkiem Radzieckim i Chinami. Ludowym Fektem jest, że Dubiński może w dalszym ciągu liczyć tylko na swoją karierę agenta, podczas gdy np. senator George, który w styczniu zostanie przewodniczącym komisji spraw zagranicznych w senacie, z coraz większą nieufnością odnosi się do owego turnicza i do konsekwencji wojny dla reprezentowanej przez siebie klasy.

Inny fakt wskazuje jak złożona jest ta sytuacja i z jaką ostrożnością należy ją analizować. Minister Skarbu George Humphrey, przedstawiciel wśród stronników Eisenhowera interesów największego przemysłu wchodno-amerykańskiego i inicjator antyzwiązkowych i „antyczerwonych” ustaw jest równocześnie zwolennikiem nie tylko „zwrotu” w kierunku współistnienia, ale także zmniejszenia wydatków wojskowych. Uważa on mianowicie, że inwestycje w słabo rozwinięte gospodarstwo krajów Ameryki Łacińskiej i Azji połączone z „rozsądną” produkcją wojenną i

chodnich, złożoną z 12 dywizji. Czy jednak w rzeczywistości — pyta Daladier — nie przygotowują one armii z 24 dywizji? Należy pamiętać, że nawet Hitler zadowolił się na początku wojny w sile 360 tys. ludzi.

„Wybrano na remilitaryzację Niemiec — stwierdził na zakończenie Daladier — właśnie chwilę, gdy Rosja wysuwa pojednawcze propozycje. Nie będziemy mogli głosować za ratyfikacją, jeżeli nie wyrazi się zgody na uprzednie rokowania ze Wschodem”.

Na tym obrady odroczone do godzin nocnych.

Jest rzeczą charakterystyczną, że w ciągu pierwszych dwóch dni generalnej debaty nie znalazł się ani jeden deputowany — również spośród zwolenników układów paryskich — który by ośmielił się wystąpić bez zastrzeżeń w obronie remilitaryzacji Niemiec zach.

Włoscy deputowani komunistyczni proponują odroczenie debaty

RZYM (PAP). W toku debaty nad ratyfikacją układów paryskich we włoskiej Izbie Posłów przewodniczący Izby Gronchi zakomunikował, że 15 deputowanych, w tym Togliatti, Longo i Lombardi, złożyli wniosek o odroczenie debaty nad układami paryskimi z uwagi na to, że na sesji Rady paktu północno-atlantycznego przedstawiciele krajów zachodnich przyjęli nowe poważne zobowiązania w sprawie użycia broni atomowej.

Zabierając głos w imieniu wielomilionowej rzeszy robotników włoskich, deputowany komunistyczny, sekretarz generalny Włoskiej Powszechnej Konfederacji Pracy Di Vittorio wezwał deputowanych do odrzucenia agresywnych układów paryskich.

Debata nad układami paryskimi trwa.

Pogrzeb Ludwika Solskiego

Trumna spoczęła w Krypcie Zasłużonych na Skałce

22 bm. odbyły się w Krakowie uroczystości żałobne związane z pogrzebem mistrza i nestora polskiego teatru — Ludwika Solskiego. Trumna ze zwłokami Wielkiego Artysty złożona została w Krypcie Zasłużonych na Skałce, obok Wyspiańskiego, Krąszewskiego, Szymanowskiego, Pola i Asnyka.

O godz. 12 do Teatru im. Słowackiego, gdzie wystawiona była trumna ze zwłokami Ludwika Solskiego, przybyła delegacja Rady Państwa i Prezydium Rządu w osobach zastępcy Przewodniczącego Rady Państwa — St. Ignara, wiceprezesa Rady Ministrów — St. Łopata oraz min. Kultury i Sztuki — W. Sokorskiego.

Rozpoczęła się uroczystość żałobna. Trumnę wynoszą aktorzy z występu przed Teatr, gdzie zebrały się tysiączne rzesze ludności Krakowa.

Wśród głębokiej ciszy zabiera głos min. Sokorski.

„W setną rocznicę swojego życia i 80 rocznicę swojej pracy scenicznej, odszedł od nas Ludwik Solski. Chyła się głowy tych, dla których pozostał wieczną sztuką.”

Zegnął Wielki Artysto! Polska Ludowa Twoje imię jak najdrogocenniejszy klejnot wyrzeźbi w skarbcu narodowej twórczości!”

W imieniu społeczeństwa krakowskiego pożegnał wielkiego artystę przewodniczący Prezydium MRN T. Mrugacz, w imieniu Uniwersytetu Jagiellońskiego — rektor prof. T. Marchlewski.

Po przemówieniu dyrektora Teatru im. J. Słowackiego — H. Szetyńskiego — ruszył kondukt żałobny.

Przed trumną aktorzy niosą na purpurowych poduszkach orduy Zmarłego i odznaczania. Za trumną postępuje wdowa Anna Solska w otoczeniu rodziny oraz delegacja Rady Państwa i Prezydium Rządu. Dalej — przeszło 100 delegacji ze wszystkich teatrów, oper i filharmonii w kraju, przedstawiciele świata kultury, nauki oraz wielotysięczne rzesze ludności.

Trwa.

Kiedy górniczy dowiedział się, że przeczytał „Poemat o Stalingradzie” 10 tysięcy czapek pofurłoło w górę — wiwatując na cześć poezji i heroizmu radzieckich ludzi.

Jestem pewien — zakończył chilijski poeta — że pisarze radzieccy wraz z postępowymi pisarzami świata dadzą utwory, w których będzie wieczne piękno i nowa prawda.

W obronie pokoju i kultury

List senatu i profesorów U.J. do profesorów Sorbony

Senat i profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie wystosowali list do profesorów Uniwersytetu w Sorbonie w związku z przygotowaniami do odrodzenia militarysty w Niemczech zach.

„Uniwersytet Jagielloński w Krakowie ma szczególne prawo do zabrania głosu w tej doniosłej sprawie — czytamy w liście. — W roku 1939, gdy armia niemiecka, pod wodzą hitlerowskich generałów, tych samych, którzy obecnie mają być użyci do jej wskrzeszenia, runęła na Polskę,

czy najwięcej — przychylnie dla pokoju uczucia ludu. Ma ona też za sobą znaczącą część kapitalistów, którzy obawiają się straszliwych konsekwencji atomowego „ingerowania” i którzy wiedzą, że dwie wojny światowe przyniosły w ostatecznym wyniku ograniczenie stanu posiadania kapitalizmu.

Jednakże nie możemy zapominać, że to co obecnie koła rządzące w Waszyngtonie rozumieją przez „współistnienie” nie jest pokojem ale stanem pozostawianiem uzbrojonego go uszy świata na łaskę najmniejszej prowokacji. Nie możemy zapominać, że pogoń za największym zyskiem jest podstawowym prawem kapitalizmu i że wielkie trusty monopolistyczne Stanów Zjednoczonych z pewnością nie z radością sercem będą ewentualnie zadowalały się zyskami gospodarki „pokojowej ekspansji”. Zrobili to tylko pod stałym naciskiem światowej opinii publicznej. I tylko wtedy jeżeli nie pozostawi się im żadnego złudzenia co do konsekwencji, jakie miałyby dla nich agresja z ich strony.

Niebezpieczeństwo, że partia awanturników obejmie kierownictwo sprawami publicznymi, jest bardzo duże. Wie one bowiem, że wszystko stawia na kartę.

Kryzys polityki wewnętrznej, który ostatnio rozpoczął się w Stanach Zjednoczonych i który będzie się pogłębiał aż do wyborów w roku 1956 jest wydarzeniem, które interesuje cały świat. Zwłaszcza zaś kraje Europy, których rządy związane są z Waszyngtonem przez sojusze atlantyckie. To co uczyni Francja, to co uczyni lud francuski może więc mieć bardzo duży wpływ na rozwój i wynik tego kryzysu. (Dok. nast.)

Kondukt przechodzący Rynkiem Krakowskim i ul. Grodzką u stóp Wawelu dochodzi do Skałki. U wrót Krypty Zasłużonych na Skałce żegna mistrza i swego wielkiego koleżkę przewodniczący SPATIF, aktor W. Nowakowski.

„Zegnął Ciebie, drogi nasz mistrzu — mówił Wacław Nowakowski — przyrzekamy wypełnić Twój testament, rzetelną, uczciwą pracą dla dobra polskiej sztuki narodowej”.

Do trumny podchodzi delegacja z wieńcami. Równocześnie rozlegają się dźwięki hejnału, którym Kraków żegna swego syna.

Wśród setek wieńców jako pierwszy złożono wieńce od Rady Państwa, Prezydium Rządu, Komitetu Centralnego PZPR, ministra Kultury i Sztuki, KW PZPR.

Ruszyła aglomerownia huty im. Lenina

22 bm. po okresie regulacji i rozruchu, uruchomiona została wielka spalnia ruda-aglomerownia huty im. Lenina. Jest to czwarty obiekt produkcyjny po wielkim piecu nr 1, słowni i kokosowni, oddany w br. do użytku w kombinacie.

Uruchomiona w hucie im. Lenina aglomerownia-spalnia ruda jest jedną z największych i najnowocześniejszych w Europie. Wybudowana została na podstawie kompletnej dokumentacji radzieckiej i przy wydajnej pomocy technicznej Związku Radzieckiego.

Spółdzielnia produkcyjna — milioner

W części spółdzielni produkcyjnych odbyły się doroczne walne zebrania sprawozdawczo-wyborcze. Stanowią one ważne wydarzenie w życiu wsi. Spółdzielcy oceniają na nich wyniki całorocznej pracy, analizują osiągnięcia, błędy i trudności oraz dzielą się dochodem osiągniętym wspólną pracą.

Do 20 bm. w woj. rzeszowskim zebrania przeprowadzono w przeszło 100 zespołowych gospodarstwach, w koszałkowskim — w ok. 50, w kieleckim — w ponad 20, w olsztyńskim — w 32, w poznańskim — w ponad 130, w szczecińskim — w 27 oraz we wrocławskim — w 25. W dalszych spółdzielniach przygotowania do podziału dochodu są zakończone, a zebrania odbędą się w nich w najbliższych dniach.

Za przykład dobrej organizacji pracy, wysokiej dyscypliny, członków może służyć spółdzielnia z Kostrzy w pow. Świdnica, która uzyskała dochód sięgający 1 mln zł. Spółdzielcy w Ustowie w pow. Szczecin uzyskali w br. 700 tys. zł. dochodu, a na każdą dionówkę wypadło im po 16,5 zł, 7 kg zboża i duże ilości innych produktów.

przeszło 150 profesorów i docentów Uniwersytetu Jagiellońskiego zostało uwiecznionych w obłazach konspiracyjnych. Kilkudziesięciu spośród nich zmarło.

Chcemy pokojowej, przyjaznej współpracy między narodami i zespolenia wysiłków nauki wszystkich narodów dla dobra całej ludzkości.

Naszym zdaniem europejski system zbiorowego bezpieczeństwa może nie tylko oddalić niebezpieczeństwo wojny, ale stwarza warunki pokojowej, twórczej współpracy między narodami. W układzie tym naród francuski może zająć zaszczytne miejsce, a naród niemiecki znaleźć słuszną drogę do swego zjednoczenia.

W pełni wiary w patriotyczne sily narodu francuskiego wyrażamy nadzieję, że Panowie, jako reprezentanci znakomitej nauki francuskiej, podniesienie swój głos przeciw remilitaryzacji Niemiec i ratyfikacji układów londyńskich i paryskich — w obronie pokoju i kultury”.

W imieniu Senatu i profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego list podpisał: rektor prof. dr T. Marchlewski, prorektor dr K. Lepski, prorektor dr J. Moszew, prorektor dr M. Klimaszewski, dr A. Bochniak, dr M. Brojek, dr W. Madyda, dr J. Sforawicz, dr Z. Grodzkiński, dr F. Polak i dr S. Ritterman.

Zjazd SARP zakończył obrady

(Obsługa własna)

Drugi dzień Zjazdu Delegatów Stowarzyszenia Architektów Polskich wypełniły wybory do władz Stowarzyszenia oraz referat sprawozdawczy prezesa Komitetu Urbanistki i Architektury inż. Skibniewskiego z Wschodniozwiązkowego Zjazdu w Moskwie poświęconego sprawom budownictwa.

Na stanowisko prezesa ZG SARP wybrany został ponownie inż. E. Wierzbicki.

Zjazd dokonał poza tym wyboru dziesięciu członków ZG, członków Głównej Komisji Rewizyjnej i Głównego Sądu Koleżeńskiego.

Wybrana została również 15-osobowa Rada SARP, w której skład weszli m. in. prof. Hryniewicz, Gutt, Zachwatowicz, Pniński, Schmidt i prezes KUA inż. Skibniewski, (J.K.S.)

Jarosław Iwaszkiewicz

Kwiaty Polskie

O CZYWIŚCIE na „półce pod słoni-
kami”, to znaczy tam, skąd każdej
chwili można wyciągnąć potrzebną
(z potrzeby serca) książkę, stoją
„Kwiaty Polskie”. Przyszycielem się
nawet wrozić z nich — jak się wro-
ży z Dantego lub z „Pana Tadeusza”.
Wczoraj wywozyłem sobie te słowa:

„W wagonie sen, że bukiet robi,
A kwiatów nie ma...”

Pora dla wroźb odpowiednia pod-
ług dawnych tradycji. Rok dobiega
konca. A zarazem bolesna rocznica,
pierwsza rocznica śmierci Juliana Tu-
wima. Zabiegani w ciągu tego roku,
zajęci sprawami życia, których tysią-
ce wstają codziennie razem ze wscho-
dem słońca, zachylając mnogiemi za-
daniami — zbyt rzadko oglądamy się
na umarłych. Tyleż tego drobiazgu
na codzień, tyle kłopotu, tyle drob-
nych radości i małych smuteczków:
ten a ten napisał dobry wiersz, tam-
temu przyznano mieszkanie, dziś nie
można dostać klódek, winda się inne-
mu zepsuła, błoto na Marszałkowskiej
i piękny widok w Parku Kultury...
A kwiaty polskie rozkwitają i
wiedzą, a my dla nich obojętni. Do-
piero rocznicę o nich przypominają.
Tuwim, Gałczyński... oglądamy się na
chwilę.

Jeszcze wczoraj zdaje się byli mię-
dzy nami. Julek uciechy się, gdy mu
ofiarowaliśmy egzemplarz książki Sło-
niskiego: „Czy chcesz być dowcip-
ny?”. A Konstanci nie chciał mi od-
dać książki o Bachu Alberta Schweit-
zera. Klóciłem się z nim o to. A gdy
się w tej chwili na nich oglądamy,
siedzą na Olimpie, w Panteonie na-
szej literatury, odlegli i dostojni, i
smutno się robi na duszy — bo się
o nich — jako o ludziach — po tro-
sze zapomina, a jako o pisarzach mó-
wi przyciszonym głosem i z łezką w
gardle. A przecież to byli ludzie, bli-
scy, kochani, czasem irytujący — lu-
dzie.

Mają dla nich zrobiono w ciągu te-
go roku. Trzecie wydanie „Kwiatów
Polskich” Tuwima — wydanie stereo-
typowe, powtórzone z drugiego — to
wszystko. W roku 1955 ukażą się
pierwsze tomy „Pism” — poczekaj-
my. Na razie bierzemy do ręki poe-
maty Tuwima; coraz nowe znajduje-
my w nim piękności, coraz nowe żar-
ty — nie dostarczone dotychczas —
coraz nowe mistrzowskie i grzaski
słowne, fajerwerki brzmień i niespo-
dziewanych zestawień. Ale jak zwy-
kle w takich razach powracamy naj-
chętniej do najbardziej znanych frag-
mentów, do początku, do zakończenia,
do „modlitwy” — do tych strof, które
przychodziły do nas nieznana droga
w czasie okupacji i stanowiły tak
wzruszającą sensację.

„Bukiety wiejskie, jak wiadomo,
Wiązane były w wozach i stromo...”

Stuchaliśmy się bez końca tych zna-
nych już wszystkim, żywych rytmów,
mnących wciąż naprzód, wciąż na-
przód — i w obrazie układającego
bukiet ogrodnika oglądaliśmy się tego
zmarłego przed rokiem czarodzieja.
Bo to przecież on:

„Spójrz jak przejmuję i przetyka
Łodygi ich między palcami,
Jak coraz nową barwą plami,
Przeplata, więzi i zamyka,
Znow kładzie, przewija, ściaga,
Palcami jak na drutach robi —
I rośnie widać pociągłość,
On uzmocnia ją, przystroja, zdo-
bi,
Siedzi spod gęstych brzozi oczyma,
Jak pędzi w górę klombik pnący,
A taśmę tyka w zębach trzyma,
Milczek surowy — bo tworzący...”

Wielką była tych polskich ogrodnik-
ów sztuka — potrafili nasz język
„coraz nową barwą plamić”, coraz
nowe treści „przeplatać, więzić i za-
mykać” — używając do tego najzwy-
kleszych polskich słów, najzwykłej-
szych polskich kwiatów.

„Nowa Kultura” ogłosiła nowozna-
leżony poemat Gałczyńskiego o A-
gnieszce. Nie wiemy, jaki by kształt
ostateczny ten poemat otrzymał —
ale w tym stanie, w jakim nam go
podano, wzmusza jak znakomity szkic
do wielkiego obrazu. A wiadomo, że
u nas w Polsce, szkice bywają bardzo
często lepsze od obrazów...

„Wierszu mój — z żalu, jak stół z drzewa,
Wierszu z tęsknoty, jak dom z cegieł!
Syrena nad wiałym brzegiem
Cichutko, jednostajnie śpiewa,
Ze Włosa płynie, Włosa płynie.
I co ma przetrwać — trwa w głębinie.
Wierszu mój, ścisły jak zapłoty
Srebrnostrunnej jej warkoczek!
Gdy się nad tobą stop rozstrząsał,
O, wierszu z gruszą i kamienią
Oczywiście mojej i młodoci!
Płyni, wzbieraj, nurcie namiętności,
Łzami grającą tężowem!
Wydułaj się — wyciągaj — sięgnij
Dnia-Tam, Dnia-Domu, Dnia w krainie,
Gdzie (słuchaj! słuchaj!) Włosa płynie,
Z płynącej Włosa bieg słowy spręgnięj
Rozchyl spragnione wargi rymów
I pi — i chłoń — i czule wmyśl
Te dwa wyrazy, godne księgi!
Wierszu, rodzona moja mowa
Polsko, matczyne moje słowo,



Matko, dla której żadnych nigdy
Słów nie znalazłem prócz modlitwy,
Matko, co swemu niemowlęciu
Śliczności śpiewywałaś tkiwie,
Do dziś szumiące w głowie słowej,
A chłopcu mazurkowe zwrotki,
Gdzie dźwięk z oddźwiękiem się sprzymierał,
Wprawiając serce w podniecie stółki,
I nauczałaś go pacierza,
A potem „ty jesteś jak zdrowie” —
— A wszystko było w jednej mowie
W tej samej, którą dziś, struchlały,
Nadziei pełen i rozpaczy,
Śpiewam dwustopowy hymn prostacy,
Jakby to był poemat cały:
Ze Włosa płynie... Włosa płynie...
Matko i wierszu, i ojczyźnie,
Umilowani trój-jedynie!
Płonie i dzwoni: „Włosa płynie!”
Poszum jej goni: „Włosa płynie!”
I przed poezją zastuchana
Zeznaje jak przed trybunałem:
Ze ja, co mowy tej caliznę
Do dna miłością przeorałem
I znam jej żwir i piasek złoty,
Czarnoziem, węgiel i klejnoty,
I, jak jagody do kobitki,
Zbierałem rośnię jej rozbiłki
I dźwięków samorodny kruszec
Z miesistych kwiatów brazylijskich,
Z drzew w White Plains, z trawy Massachusetts,
Ja, wdany w żywot jej korzeni,
Pnia i gąszi, i zieleni,
Jak pszczoła w plasty barci leśnej,
Ja, co jej prawdę chwytałem bystrzej
Niż usta świeży miąższ czeresni,
Ja — radośniejszej i srebrzystej
W polszczyźnie nie słyszałem pieśni.

Rzeko, co wiernie w swojej fall
Warszawskie powtarzałaś gwiazdy
I każdy świat, i każdy zmierzch,
Jak się powtarza piękny wiersz
(Płynnie i drżąc — a czasem)
Głos ze wzruszenia się zalamie
Jak światło w strumienistych wodzie,
Lecz jeszcze wdzięczniej, jeszcze słodziej
Toczy się wtedy razem z łzami,
O rzeko, co na pamięć znałaś
Niebieskie nieba poematy
I strofy chmurów na wyrywki,
I sagi burz, i zór liliady,
I pismo święte naszych gwiazd —
Aż przyszło ci, pieśniarce szara,
Ogniem stolicy swej zapalać
I wyć, gdy wycie usłyszałaś
Warszawę, Hoba polskich miast!
Gdy się nad tobą stop rozstrząsał,
Płynęłaś w purpurowych blaskach
Tym samym prądem niewzruszonym,
Płynęłaś dumnie i swobodnie,
A domy miasta, jak pochodnie,
Lecz odwrócone w dół żalobnie,
Pochodem w tobie szły czerwonym...
Wrócimy, Włoso, po te czerwień,
W głębinie twej chowana wiernie,
Wrócimy z wicherem, zbrojnym w gniew
I w nową młodoc, wiare nową...
Ten wicher — naszą pięść poderwie
I blask, i krzyk, i wiersz, i krew!

Fragment „Kwiatów Polskich”

Edmund Osmańczyk

W Moskwie i w Warszawie

KIEDY ktoś zadaje mi pytanie, co
najbardziej uderzyło mnie w Mo-
skwie, odpowiadam:
— Zmiana w ludziach.

Po tym dopiero stwierdzeniu za-
czynam od początku opowiadać, co
nowego zobaczyłem w 1954 r. w Mo-
skwie w porównaniu z r. 1947. A
więc rozbudowane w wielomilionową
metropolię miasto, wieżowce, szerokie
koryta ulic, którymi płyną rzeki lu-
dzi i aut w wielkomiastowym neo-
nym świetle. Sklepy pełne towarów
wysokiej jakości, wykupywanie ma-
sowe lodówek, elektrycznych pralek,
adaptów, magnetofonów, luksus-
nych radioodbiorników, no i telewi-
zory, których w samej Moskwie
sprzedano już półtora miliona! Do-
robek wielkiego rozwoju technicznej
cywilizacji staje się powszechny —
to widać na każdym kroku — i bez
statystyk „na oko” można już okre-
ślić, że niedługo większość obywateli
radzieckich będzie korzystać ze zdo-
byczy cywilizacji technicznej. Cywil-
izacja techniczna w Związku Ra-
dzieckim — to czuje się na każdym
kroku — weszła w okres — nie znaj-
dując innego określenia — „rozlewi-
skowy”.

Już dziś młody człowiek, który
marzy o motorówce, zegarku, moto-
cyklu, rowerze, czy magnetofonie, je-
śli oszczędzi sobie trochę grosza, mo-
że kupić, czego zapagnie, ponieważ
ceny są dostępne dla umiających
oszczędzać.

Zapewne, że są ludzie, których nie
stać na ten czy inny większy wyda-
tek. Istotne jest jednak samo zjawis-
ko „rozlewiskowego” rozwoju cywil-
izacji technicznej, zjawisko nie ko-
niunkturalne, lecz takie, które należy
traktować jako czynnik stały, podob-
ny do owych międzywładowych móz-
budowanych w Związku Radzieckim.

W morzach tych podnoszenie się z
roku na rok poziomu wód jest rów-
nie oczywiste, jak oddziaływanie ich
na klimat i urodzajność pól w pro-
mieniu setek kilometrów. W tym wy-
padku zmienia się przyroda, w tam-
tych — człowiek.

I to, co jest najciekawsze dziś w
Kraju Rad — to zmiany w człowieku
radzieckim.

Wpływ cywilizacji technicznej na
społeczność ludzką znamy z
krajów takich, jak Niemcy, Anglia,
Stany Zjednoczone. Zewnętrzne ana-
logie można by z łatwością wyliczyć
— ale zmiana w ludziach radzieckich
— tak odrębne źródło ustrojowe, że
wpływ zdobytych technicznych jest
czynnikiem wtórnym, drugorzędnym.

MOSKWA 1954 przypomina mi
Nowy Jork 1947. Tam wzrost
dobrobytu i powszechny szal telewi-
zji miały swe źródło w zyskach z
wojny. W Moskwie 1954 wzrost do-
brobytu i powszechna uciecha z te-
lewizji mają swe źródło w dorobku
pokojowej pracy narodu, który stracił
na wojnie miliony istnień ludz-
kich i miliardy rubli w pogorzel-
skach. W Nowym Jorku w 1947 r.
zobaczyłem, jako wykwit wojennego
wyżu cywilizacji technicznej, rodzący
się faszyzm, pychę z wojennych zwo-
byczy i strach przed wolnością słowa
i myśli, ograniczanie swobód obywatelskich — i podłe nadzieje na nową
konjunkturę wojenną. W Moskwie
1954 r. zobaczyłem ludzi zwyciężaj-
nie kochających życie, pokój i wolność
korzystających z tych skarbów, lu-
dzi pozbawionych pychy, odważnie
rozwijających nowe myśli.

Czy ludzie radzieccy byli dawniej
inni? Czy nie kochali życia, pokoju
i wolności? Oczywiście, że kochali,
ale nie zapominali, że co innego
jest coś z całego serca kochać, o coś
z wszystkich sił walczyć, a co inie-
go to coś wreszcie w pełni posiadać.
Dramatyczną walkę o uprzemysłowie-
nie, o kolektywizację, o silownię auto-
mów toczył naród radziecki — nie
zapominali o tym ani przez chwile-
— w najcięższych warunkach ka-
pitalistycznej wrogi izolacji, wojen
interwencyjnych i hitlerowskiej na-
paści. Ileż ofiar, ileż wyrzeczeń, ile
siośnego potu i krwi musiał dać z
siebie naród radziecki, by ocalić sie-
bie i ludzkość od faszystowskiej za-
głady i wyrosnąć do tej potęgi, która
dziś zabezpiecza pokój świata i wo-
lność narodów od Bałtyku po Pacy-
fik.

BUDUJĄC tę potęgę pokoju i wo-
lności, nieuniknienie, jak wszędzie
gdzie są ludzie, popełniano i błędy,
które nieraz podwajały trud i ofia-
ry. Z kolei ostro i jawnie korygowa-
no błędy, co już jest wyjątkową zdo-
byczą socjalizmu. Wśród trudów, wy-
rzeczeń i ofiar, w ostrej walce z błę-
dami wyrastał naród radziecki. To-
też, gdy przyszło bronić socjalistycz-
nej ojczyzny, naród wykazał najczystsze
bohaterstwo, bo wiedział, czego
bronii. W patriotycznym szczerem
uniesieniu słusznie uznał, że wszyst-
ko, co radzieckie jest najlepsze, bo
w każdym dziele myśli i rąk ludzi
radzieckich jest ziarno socjalizmu,
które rozkwitnąć może w wielkość
w świecie nieznana. Ta piękna pra-
wa, zwulgaryzowana później przez
nadgorliwych lakierników, wywoła-
wała odruchy sprzeciwu. Teraz spo-
tkać ją można z powrotem w swej
najczystszej formie. Nie usłyszałem
w r. 1954 w Moskwie, by ktoś po-
wiedział, że to czy inne dzieło ra-
dzieckie jest najlepsze na świecie,
natomiast słyszałem nieraz, że ta czy
inna maszyna nie jest jeszcze tak do-
bra, jak amerykańska, niemiecka czy
szwedzka, ale już się pracuje nad
tym, by była lepsza. Są dziedziny, w
których przodują jeszcze inne narody,
ale człowiek radziecki, który to
mówi, wie, że nie ma dziedziny, w
której by ustrój socjalistyczny nie
był w stanie w niedalekiej przyszłości
zdobyć pierwszeństwo.

Istota sprawy jest bowiem to, że
ustrój ten jest najlepszy w świecie.
Jest to ustrój, który nie ogranicza
wyzwolenia sił twórczych człowieka
i wyzwolenia sił drzemających w ma-
terii, wiedząc, że będą służyć poko-
jowi i wolności narodów. To wiedzą
ludzie radzieccy i to jest źródłem ich
siły. Przeżywszy tak ogromną drogę
od zacofanej carskiej Rosji do przo-
dującego kraju obozu pokoju, korzy-
stając wreszcie coraz pełniej z do-
brodziejstw swej pracy, ludzie ra-
dzieccy mają poczucie nie swej wy-
szości, lecz swego pierwszeństwa
wśród równych. Jest to taka sama
różnica, jaka istnieje między pyszał-
kiem a człowiekiem znającym swą
wartość wśród wartościowych ludzi.

Tu trzeba wspomnieć o nowym
czynniku, który wszedł w życie ra-
dzieckie — o pracy narodów demo-
kracji ludowej. Izolacja kapitalistycz-
na, trwająca blisko lat trzydzieści,
skończyła się, gdy wokół Związku
Radzieckiego wyrosły wolne kraje na

zachodzie: Polska, Czechosłowacja,
Węgry, Rumunia, Bulgaria, Albania,
NRD, na wschodzie: Chiny Ludowe,
Korea, Wietnam.

Kiedy mi powtarzano, że często
słyszysz się dziś na zebraniach radzie-
ckich, iż w tej czy innej dziedzinie
należy zapoznać się ze zdobyciami
przajaciół chińskich, polskich, cze-
skich czy z NRD — to poza uczuciem
narodowej dumy miałem uczucie to-
samo, które przeżywają ludzie ra-
dzieccy — poszerzania się ojczyzny
przez rozepchnięcie kręgu kapitalistycz-
nej izolacji. Nie zawsze ustają sto-
sunki między naszymi narodami i
ludźmi, ale wzajemna przyjacielska,
socjalistyczna pomoc, która z wysiłku
Rosjan, Chińczyków, Polaków, Cze-
chów, Ukraińców — nie wymienia-
wszystkich, tak jest nas wielu —
wytwarza nowe wspólne wartości,
dzięki którym pokój i wolność stają
się wspólnym dobrem wszystkich na-
szych narodów.

RZECZ prosta, że świadomość ży-
cia wśród 900 milionów przysia-
ciół i budowania wraz z nimi socja-
lizmu zmieniać musi mentalność ka-
żdego radzieckiego człowieka, pamię-
tającego samotne borykanie się swego
narodu przez przeszło ćwierć wieku.
Oddycha więc swobodniej i szer-
zej ogarnia myślą i swoje i nasze
sprawy, a spokojniej spogląda na
pełny amerykańskiego niepokój ka-
pitalistyczny świat. Coraz zapalczy-
wiej wrą dyskusje o literaturze, ar-
chitekturze, malarstwie, ludzie do-
magają się, by sztuka wyrażała jak
najpełniej zmiany, które zaszły i za-
chodzą w społeczności radzieckiej.
Zmienia się styl pracy i styl narad,
obrad, zebrań. Rozlewają się szeroko
nowe treści socjalistycznego życia.

Będąc latem w Genewie napisa-
łem, że zjawiskiem najistotniejszym
współczesnego świata jest kurczenie
się swobód obywatelskich, wolności
słowa i myśli w kręgach burżuazji
zachodniej, a rozszerzanie się swobód
obywatelskich i upowszechnianie się
odpowiedzialnej socjalistycznej wo-
lności słowa i myśli w naszym obozie
pokoju.

Będąc w Moskwie przekonałem się,
jak głęboko to jest proces i jaką si-
łę moralną dla całego świata posiada
wolność, którą rozwija naród radziecki
i wraz z nim wszystkie narody
naszego obozu — obozu pokoju i
wolności.

KIEDY wróciłem do Warszawy i
opowiadałem o tym wszystkim,
mądry przyjaciel wysłuchał i rzekł:
— A wiesz, co w tym najciekawsze?
To, że i u nas zmienia się styl
pracy, narad, obrad, zebrań, hu-
cuz dyskusje o literaturze, architekturze,
malarstwie i rozlewają się szeroko no-
we treści socjalistycznego życia, mi-
mo że jeszcze nie produkujemy ani
lodówek, ani telewizorów, choć wie-
rzę, że będziemy niezadługo produ-
kować i to.

— Słusznie — odparłem. — A ta-
jemnica tej przemiany tkwi w tym,
że w naszym obozie buduje się po-
kój powszechny i rozwija się wo-
lność powszechna. To nie jest kapita-
listyczny świat, w którym dobrobyt
imperii wyrasta z nędzy narodów
kolonialnych i zależnych. My żyjemy
w świecie socjalistycznym, w którym
pokój i wolność Rosjanina jest gwa-
rancją wolności Chińczyka czy Po-
laka, a pokój i wolność Polaków czy
Chińczyków jest gwarantem pokoju i
wolności Rosjan czy Ukraińców.

Znała amerykańska dziennikarka,
Margaret Higgins, która późną jesie-
nią br. dziesięć tygodni podróżowała
po Związku Radzieckim, ostrzegła te-
raz czytelników „New York Herald
Tribune” przed lekceważeniem prze-
mian, jakie zachodzą w Kraju Rad i
określa je jako najbardziej groźne z
wszystkiego, co dotychczas działo się
w Związku Radzieckim. Rzecz prosta,
chodzi jej o to umacnianie pokoju
dla wszystkich i rozwijanie wolności
dla wszystkich — rzeczy groźne dla
wojennych karierowiczów.

I stał to, co uciechy mi w
Moskwie i w Warszawie, zmartwiło
korespondentkę amerykańską. Uzna-
łem więc to za jeszcze jeden dowód,
że idziemy w dobrym kierunku.
Wesołych Świąt!

Władysław Kopaliński

ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE

JESLI istnieje zwyczaj, że gazeta
składa życzenia świąteczne czytel-
nikom, to czemu by właściwie czy-
telnik nie mógł raz życzeń takich zło-
żyć gazecie?

Moje życzenia, życzenia zwykłego,
lecz pilnego czytelnika, ogranicza-
ją tuż do jednej tylko, ale ważnej
strony działalności pisma codziennego,
do informacji zagranicznej. W jakiej
mierze zaspokaja ona wymagania od-
biortcy? Z pewnością w znacznie wyż-
szej niż było to choćby przed rokiem.

Informacja stała się szybsza. Coraz
częściej, na zadane tajemniczym gło-
sem pytanie: „Wiesz, co wczoraj po-
wiedziała generał K?” możemy odpo-
wiedzieć, ze znużeniem w głosie:
„Oczywiście, przecież czytamy gazety!”
Gdyby dziennikarze wiedzieli, jak sro-
motne rozczarowanie przynosi taka
odpowiedź jednej, a jak cholerna sa-
tisfakcja drugiej stronie!

Informacja stała się pełniejsza. Ma-
my już nawet niekiedy „koresponden-
cję własną” z prawdziwego zdarze-
nia. Czytelnik przyjuje to z niekla-
maną radością. Chciałby on jednak,
żeby było jeszcze znacznie lepiej, że-
by zniknęły pokutujące gdzieś-
gdzie stare nawyki. Przełamanie ich
— to właśnie przedmiot dzisiejszych
życzeń.

Zaczynajmy od drobiazgów. Czy ma-
my prawo do nieważnych, nieistot-
nych, ale zajmujących drobiazgów
informacyjnych? Jestem pewny, że
mamy. Pierwszy z brzegu przykład:
co słychać z pieciórkami kanadyjs-
kimi? Jeżeli ktoś się to oburza i
wola: „Kogo takie blachostki obcho-
dzą? Co to załatwia? Co to daje?” —
sam daje w ten sposób wyraz swoim
starym przyzwyczajeniom, niezrozu-
mieniu psychiki czytelnika. Bo, po
pierwsze, każdego normalnego czło-
wieka obchodzić takie dziwne zjawisko,
jak pieciórki, a po drugie, nam,
którzy żyjemy w nowym ustroju spo-
łecznym, często i blache sprawy sta-
rego świata dają do myślenia. Bo
proszę — dziewczynkom dano milion
dolarów posagu, fantastyczna opieka
i niesłychanie bigoteryjne wychowa-
nie. Milion — systemem wygranej na
loterii — dlatego, że stały się rekla-
ma firmy mydlarskiej. Wiadomość zaś
polega na tym, że jedna z dziewczy-
nek zmarła, a druga ucieka z klas-
toru...

Ale pal sześć pieciórki! Inny
przykład. Mendes-France, podczas
swej ostatniej podróży do Stanów,
wyskakiwał ze skóry, aby się przy-
podobać Amerykanom. Podkreślał
w swych przemówieniach, może dlatego,
aby skokietować kwakrów, że pija
tylko mleko. Na to podnieśli krzyk
francuscy eksporterzy win. Premier
orientował się niepewnie, że po-
pełnił gafę, i posunął w liście do a-
merykańskiego „Bractwa Rycerzy
Kiperstwa” odwołanie herezję i po-
chwalną cnotę francuskiego wina. Czy
taki „michalek” zainteresował pol-
skiego czytelnika? Myślę, że tak.
Czy naruszyłby nasz stosunek do
grozy realizacji uchwał paryskich?
Z pewnością nie.

Dalsze życzenia dotyczą ważniej-
szych spraw, zagadnień kultury i na-
uki. Takie wiadomości, jak śmierć
pisarki francuskiej Colette, fizyka
Enrico Fermi, dyrygenta Wilhelma
Furtwänglera, nie powinny być przez
prasę codzienną przemielane, lub po-
dawane z wielotygodniowym opóź-
nieniem. Albo na przykład wiadomo-
ść o udzieleniu Ernestowi Hemingway-
owi nagrody Nobla. Przecież w jury
nagrody odbyła się pasjonująca wa-
łka: niewiele tylko brakowało, aby
nagrodę otrzymał inny kandydat, po-
stepowy pisarz islandzki Halldor La-
xness, laureat Nagrody Pokoju z ro-
ku 1953. Jakże silnie musiano urucho-
mić, aby nie dopuścić do zwycięstwa
tego kandydata! Nie chcemy, aby nas
takie wiadomości omijały.

Wielu z nas zainteresowałby na
pewno fakt, że udało się już osią-
gnąć temperaturę tylko o dwie tysięcz-
ne stopnia wyższą od zera absolutne-
go. Jest to dalszy sukces w dziedzinie
w której, dzięki Wróblewskiemu i
Olszewskiemu, Polska przewodziła
niegdyś światu.

Cechą dobrego dziennikarza jest u-
miejętność wzbogacenia informacji
komentarzem. Nie zawsze jednak
traktować trzeba wiadomości o komen-
taryzacji jak złośliwych braci syjamskich.
Ofiara takiego nawyku wrzuci do ko-
szka każdą wiadomość, której nie po-
trafi od razu skomentować. A co by
się stało, gdybyśmy dziś podana in-
formację naświetlili jutro lub pojut-
rze? Czyżby czytelnicy mieli aż tak
złą pamięć?

Niekiedy pasja komentarska sta-
je się tak zjadliwa, że zajeżdża infor-
mację, jak chłusta kobyłę: wdziera się
do środka tekstu, rozrywa poszczególne
zdania. Jako przykład weźmy debaty
ratyfikacyjne w Bundestagu i we fran-
cuskim Zgromadzeniu Narodowym.
Parę zdań z mowy Adenauera, według
„Zycia” z 16. bm.:

„Kancelarz bawarski twierdził — odwołując oczy-
wiste fakty — że ratyfikacja układów paryskich
nie przeszkodzi podjęciu rokowań... Militarizm
niemiecki nie żyje — świadczą o tym Adenauer...
Wyrzuty zadowolenia z powodu przynaj-
mniej Niemcom tzw. „suwerenności” polacy Adenauer
z podkreśleniem „dobrodrożności”, wypływają-
cych z tekstu dla Niemiec zech. z pośrodku
zachodnich wojsk okupacyjnych...”
Ze sprawozdania gen. Billotte, we-
dług „Zycia” z 21. bm.:

„Billotte uciekł się do karkołomnej argumen-
tacji. Powtórzył on więc znane kłamstwa o rze-

komej „groźbie ze Wschodu”... Wypacając fak-
ty, Billotte wyrażał poglądy... Wzwał on... do ra-
tyfikacji układów... wysuwając absurdalny argu-
ment, że odrzucenie układów... zmniejszyłoby

Polska opinia publiczna jest w spra-
wie uzbrojenia Wehrmachtu zespola-
na i jednolita; poznaliśmy Wehr-
macht na własnej skórze w czasie
piecioletniej okupacji hitlerowskiej.
Gdzie w Polsce znaleźć dziś można
czytelnika, dla którego rzeczy te tre-
ba by szpikować bezlikami wyklucza-
jących się nawzajem zastrzeżeń i cu-
dzośłowów, owych „rzekomo” i „ja-
koby”? Dajmy czytelnikowi odsapnąć,
pozwołmy mu samemu pokławić gło-
wą nad obłądą Adenauera, oburzyć
się na argumentację Billotte’a, nie
czyńmy tego za czytelnika, bo wresz-
cie i czytelnik będzie musiał za niego,
tak gmatwając i zaciemniając infor-
mację uprzykrzone wtręty.

Następne życzenie. Niekiedy odnosi
się wrażenie, że obszerne przemówie-
nia meżów stanu nie wiążą się z po-
zostłą zawartością numeru. Jakby
redakcja nie rozumiała, że czytelnik
jest żywym, zajętym, zapracowanym
człowiekiem, który chciałby całość
przemówienia przeczytać spokojnie
wieczorem, w domu; z rana natomiast,
przy pośpiesznie spożywanym śniadaniu,
czy w tramwaju lub pociągu,
pragnąłby się zapoznać ze streszcze-
niami, zawierającymi główne tezy prze-
mówienia, aby przez cały dzień nie
być w tej sprawie ciemny jak tabaka
w rogu. Zredagowanie czterdziesto-
wierszowego skrótu może być rzeczą

niełatwą, ale przecież nikt nie twier-
dzi, że praca dziennikarza jest łatwa.
I na koniec życzenie najważniejsze.
Wiecej informacji z życia Związku
Radzieckiego! Czytelnicy pragną ko-
rzystać z doświadczeń radzieckich, bo
niosą im one realną pomoc i korzyść.
Tymczasem dostajemy w tej mierze
często informacje powierzchowną i o-
ficyjalną, nawet w sprawach najżywc-
nie nas obchodzących.

Dwa świeże przykłady. Jak chętnie
dowiedziałby się nasz czytelnik, któ-
remu własny interes dyktuje wa-
żność informacji z życia Związku
Radzieckiego! Czytelnicy pragną ko-
rzystać z doświadczeń radzieckich, bo
niosą im one realną pomoc i korzyść.
Tymczasem dostajemy w tej mierze
często informacje powierzchowną i o-
ficyjalną, nawet w sprawach najżywc-
nie nas obchodzących.

O moskiewskich naradzie budowni-
czych moglibyśmy się dowiedzieć chy-
ba tylko z korespondencji Woroszył-
skiego. A chciałoby się wiedzieć
znacznie więcej, bo poruszono tam
sprawy, o których i u nas się gorąco
dyskutuje, sprawy ważne, bo dotyczą
naszych mieszkań i zakładów pracy,
sprawy pilne, bo wolimy błędy bu-
downiczych usuwać gumką na rysow-
nicy, niż spychać je w terenie.
Wymagania konsumentów rosną. A
czytelnik to także konsument,

Tadeusz Drewnowski

Dzień dzisiejszy w noweli

PRZYZNAM, że kiedy dowiedziałem się o pomysłach wydania w 10-lecie Polski Ludowej zbioru nowel współczesnych autorów, inaczej je sobie wyobrażałem, niż zmaterializowało się to obecnie w „Czytelniku” w formie „Dnia dzisiejszego”. Myślałem po prostu, że wydawnictwo pokusi się o antologię dziesięciu lat, naszej nowelistyki, że obok utworów świeżej daty odgrzebie z roczników prasy literackiej zapomniane utwory, że wydobędzie z nieznawianych w całości tomów nowele, które przetrwały. Byłem ciekawy: jakie wyniki dała poszukiwania? Jak w dziesięciolecie przekroju zaprezentuje się ta dziedzina, bogata w naszej literaturze, a jednocześnie najbardziej może porażona „wszystkoistycznymi” żądaniami teoretyków, które, na szczęście, w dniu dzisiejszym odeszły w krainę cieniów.

Ksawery Pruszyński, Adolf Rudnicki, Jerzy Putrament, Tadeusz Borowski, Stanisław Wygodzki, Marian Brandys, Wojciech Żukrowski, Bohdan Czeszko — oto ci „rasowi” noweliści, których imiona cisa się na myśli w związku z powyższym — wcale nie chudym — dorobkiem naszej nowelistyki. Ale poruczyć snuć pomysłów, do których w przyszłości może nawiąże jakieś wydawnictwo, a zwrócić się ku temu, co jest. Większości z nazwisk nowelistów nie znajdziemy w zbiorze „Czytelnika”, gdyż ufundowany on został na innej zasadzie — na zasadzie tematyki dnia dzisiejszego, zresztą zakreślonej bardzo szeroko granicami dziesięciolecia. Ani trochę nie odejmuję wartości zebranym tutaj utworom, ale rzuca się w oczy właśnie przypadkowość w skomponowaniu zbioru, który jako pierwszy w swoim rodzaju mógł znacznie pełniej przedstawić szczytowe osiągnięcia powojennej noweli w tematyce społecznej. Nie zrobił tego, gdyż przeszedł chlubną skądinąd, lecz w danym wypadku przypadkową — zasady pierwowzoru książkowego.

Czy nie zbyt pedanteria krytyka podyktowała te uwagi, skoro „Dzień dzisiejszy” jest książką na prawdę do czytania? Po co te zastrzeżenia, skoro większość opowiadań znajduje się na poziomie najwyższym, jaki osiągnęła dotąd nasza literatura? Ta szeptana pedanteria jest mi jednak potrzebna dla podzielenia się kłopotami, w jakich znalazłem się przy omawianiu zbioru nowel pisarzy tak różnych, problematyki tak rozstrzelonej, utworów tak rozmaitych, już nawet w ich rodzajowym kształcie, a zamkniętych w okładki jednej książki dość doraźnymi racjami.

A jednak nawet w tym utłumionym lustrze noweli o dniu dzisiejszym dopatrzyć się można pewnego wspólnego rysu i to — wbrew wszystkim wyliczonym przypadkowościom — na pewno nieprzypadkowego. Wszystkie, bez wyjątku, opowiadania poświęcone są awansowi duchowemu człowieka w wyzwolonej Polsce. W jakimś ogromnym zagęszczeniu i burzliwości przemian, w gorączce moralnych przeobrażeń jest w tej książce refleks dziesięciolecia.

Pół żartem — pół serio

Wizyta

Alte! clemno. Idziemy i idziemy, kocha nie widac tej drogi. Idziemy? Raczecj peziemy, brodzimy, grzeziemy, nurzymy się, brulujemy, brulujemy, uszarko, co kto chce tylko nie idziemy”. Kazio czepie z tytułu. Ja ostrzegam o przeszkodach. Majaczy mi się wizja szklano-cieplego pokoju: nakręty stół, lampka, szklanka gorącej herbaty. Tymczasem deszcz śłapi, w nikłym blasku dalekiej tury, miasta sierzacha ostrzegawczo zwalnia wozurza, potyskuja biotniste katusze.

Skończył się plot. — Uwaga, będzie ułica — ostrzegam Kazię. — Możesz iść tylko po cegach. Gwałtowny chłupot ostrzegł z kotel mni, że Kazio nie posłuchał wezwania. Staniem, nadstawiając ucha. Kazio powiement był zakłócić. Nie. Cieszy — Kazio! Kazio! — wołaniem z niepokojem.

— Bul, bul, bul... — data się słyszec odpowiedzi. Skończył się głosem. Pod nogami coś trzępotało się rozpaczyliem. Złapaniem nieszczęśliwie za kark i postawieniem na nogi. Był bitki uduszenia. Nieomylnym instynktem uwiadomiony zaciągając go pod hydrant na pobłkitie budowie i opieką. Trząsł się, jak w febrze.

— Czemu hłiberbata bódbezie? — zaszczerkał zabami.

— Będzie — odpowiedziałem. Instrukcja w myślach półki sklepu na dote. Czegóż tam nie ma? Nie ma ujedn. konserw. siera, a wieczorem — piczycuwa... A ile nabożycuwa dyrektora MID Warszawa-Południe. Skłep osiedlowy, pocinno w nim był uszarko, co potrzebne lokatorom.

— Będzie herbata — powtórzylem — tylko musisz poczekać, bo gazu jeszcze nie ma. Uwaga! Dół!

Kazio już leżał. Zbierał się z trudem, kinać i marudzać.

— Daleko jeszcze? — pytał.

— Już nie, teraz pojedziemy na skos. Stój, gdzie idziesz? Nie chodnikiem! — wrzeszczałem.

— Dlaczego nie chodnikiem? Tam błoto... Pozwól — prosił Kazio.

— Ale chodnik prowadzi do młaka. Kończ się na ścieżce ścieżce — wyjaśniałem. — Uwaga! tu zaraz będzie wejście.

— A pojedziemy windą? — dopytywał się Kazio.

— Skądże, nieczysta. Ale to szcote piętro. Rozgrzejesz się — tłumaczyłem.

— A świątka na schodach jest? — pytał niezadowolony.

— Nie ma. Automat się psuje, przyciski pomykające — odpowiedziałem ze smutkiem.

Dłuzszy czas trwała cisza. Zanępkolełem się, bo szliśmy kolo wykropu od gazućcu. Czegóż znów upadł? — Kazio! — zawołałem, trzucąc.

Odpowiedział mi oddalający się typtop. Kto, o gnat, co tchu, wykropem ku jaśniejacemu w oddali ulicy.

Westchnąłem. To już nie pierwszy gość, który nie wytrzymał trudności podróży do mojego domu przy ul. Dorosłowski 2.

A ja tam mieszkać już 2 miesiące.

I do tej poro nikomu nie udało się mnie odwiedzić.

Nauet komiśi z gazowin.

Nauet komiś z DRN.

którego nie można porównać z żadnym innym w naszej historii. Ciekawe byłoby zestawienie bodaj jednego tomu „Dzień dzisiejszy” z utworami, jakie ukazały się po dziesięciu latach wegetacji burzliwej Polski!

P R Z E K A R T K U J M Y teraz książkę. Dia powierzchownego chociaż uporządkowania materiału wypadnie zacząć od końca.

Nowela Jerzego Putramenta poświęcona jest jednemu z tych, którym zawdzięczamy zwycięstwo rewolucji, anonimowemu jej bohaterowi — chłopskiemu komuniste i dawnemu fernalowi, towarzyszu Urbanowi. Jak przystoi świetnej noweli, wszystkie komponenty „Odmowy” służą wyrazistoci głównego konfliktu psychologicznego. W jego blasku ujrzymy w rozwiązaniu wielkość i piękno moralne tego człowieka. Od pierwszych zdań atakuje naszą wyobraźnię, właściwa autorowi „Rzeczywistości” i „Wrzesnia”, pasja polityczna.

Tutaj z konieczną w noweli zwięzłością odkrywczo, dosadnie daje autor sytuację i atmosferę wojny domowej na Lubelszczyźnie i tarapatów ludowej władzy, która nie raz w owych chwilach spoczywała na barkach jednego człowieka. Takim człowiekiem jest w swoim terenie Urban. I oto z Warszawy przychodzi ostrzeżenie, że wróg wydał wyrok na jego życie, a wraz z nim poalenie usunięcia się z rodzinnego strona. Na polecenie to towarzyszy Urban odpowie odmową: nigdzie indziej — poza swoim terenem — nie odrzucił chłop nie widzi swego miejsca w rewolucji. Motyw chłopięcego zresztą z siemię rodziny, obawa przed utratą twardego gruntu pod nogami w służbie dla rewolucji, która była jedynym ludzkim prawem jego egzystencji i która nadawała rozmach i sens zarówno jego życiu jak groźbę mu w tej chwili śmierci — charakterystyczny, wzruszający postać chłopięcego komunisty.

„Odmowa” wzbudza żal do autoru o zaniechanie nowelistyki, którą niedługo uprawiał z dużym powodzeniem.

W poszukiwaniu tematów „Kazimierza Brandysa jest jednym z utworów, jakie złożyły się na przygotowywany przez prozaika tom „wspomnień z teraźniejszości”. Będzie to pierwsza próba Brandysa — powieściopisarza, dramaturga, publicysty — w nowej dziedzinie — opowiadania. Przypatrujemy się tym problemom ze zrozumiałym zainteresowaniem. Coś nam się przed określieniem „W poszukiwaniu tematów” jako noweli, choć pomysł utworu nadaje się, jak ułai, na nowelę. Proza Brandysa jest tym razem nieco rozwickle wspomnieniowa — zwięzłość wyszła z pomysłu, jak mi się zdaje, tylko na dobre. Przez znakomitą większość opowiadania kluczy prozaik koło sprawy, wprowadzając w nastrój miasta, autora zruczonego tam przez przypadek, opisuje hall i salę obrad, zanim dojdzie do głównego węzła dramatycznego. I tu zaczyna się świetna nowela, oparta zresztą na zdarzeniu autentycznym.

Rodnym bratem towarzysza Urbana jest towarzyszy Skromny z opowiadania Brandysa. Kiedy po zgłoszeniu jego kandydatury na delegata na II Zjazd Partii nieoficjalnie opowiadali swój życiorys proletariusza wiejskiego, dia całego zgromadzenia zadła się nieznajna wieloletnia luka w jego życiorysie między poruczeniem nowelskiego powiatowego sekretarza Partii w pierwszych ciężkich latach po wyzwoleniu a chwilą obecną. Odpowiedzi na pytania składał półgłosem, jakby coś krył. Powstała atmosfera nieufności, którą rozprzaskają towarzysze znający z tamtych czasów Skromnego, ale zagadka kilku lat pozostała niewyjaśniona. Okazała się ona bardzo prosta: „Jaka tam ta mnia był sekretarz — powiedział bardzo cicho Skromny. — Przecia ja krzyżem się kresiliem.” W wydartej z trudem tajemnicy towarzysza Skromnego dostrzegł Brandys tajemnicę naszej rzeczywistości, która z krótkiego się krzyżem sekretarza uczyniła świadomego, światłego bojownika, który ma prawo być delegatem na zjazd Partii.

„Głównym przedmiotem powyższej historii — trafnie formuluje Brandys sens swego opowiadania — jest nie to, co Józef Skromny chciał ukryć przed konferencją, lecz to, co było ukryte w głębi jego serca... Na trudne drogi dochodzenia do ludowej ojczyzny prowadzą nas inne opowiadania „Dnia dzisiejszego”. Ze świetnym kunsztem opisał Marian Brandys „kolegę Borowczyka”, ośladowego pieczeniara, septyka, który nie wierzy, że ludzkimi siłami da się wskrzesić Warszawę. Prosty fakt każe mu się zachwiać w tej niewierze. W skromności towarzysza Bieruta, jedzącego w kwatery KRN te samą zupę co wszyscy, będzie dla Borowczyka coś nieodgadnionego, coś zwiastującego siłę ludzką, która może i upora się z odbudową Warszawy. W tej krótkiej noweli, utrzymanej w tonie grotesku, wyczuwa się wciąż podtekst psychologiczny — zewnętrzna pozę kontrastuje się z ukrytą uczuciowością septyka.

Nie miejsce tu na obszerną analizę „Trzeciej jesieni” Marii Dąbrowskiej, ani „Ucieczki Felka Okonia” Jarosława Iwaszkiewicza, gdyż utwory te nie sposób oderwać od dróg twórczości wybitnych pisarzy, od ukształtowanego od dawna stylu twórców „Ludzi stamtąd” i „Młynu nad Utratą”. Są to w obydwu wypadkach niezmiernie cenne wypowiedzi doświadczonego pisarza o współczesności, świadczące o ich żywym, serdecznym stosunku do przemian społecznych.

Pierwszy wypad znakomitej pisarki w stronę współczesności wywołał mnóstwo komentarzy. O szkicu Dąbrowskiej dyskutowano więcej niż o niejednym, słynnym tomiku. „Trzecia jesień” przysła bowiem ogromnym doświadczeniem i świetną sztuką Marii Dąbrowskiej w sukur literaturze współczesnej w momencie impasu, zaprzeczając swoją wymową i wyglądem wielu pochopnym teoriom, jeśli nie wypaczającym sens literatury aktualnej, to w każdym razie poważnie ograniczającym i umniejszającym jej przeznaczenie.

Na czym polegały te wątki przypomnienia „Trzeciej jesieni”? Przede wszystkim „Trzecia jesień” zainicjowała jako pretekst obserwacji dnia powszedniego, obserwacji z kamienicy, z podwórka, z ulicy warszawskiej, spostrzeżeń o

zjawiskach i moralnych, w jakie obfituje opowiadanie, a która niezwykle skąpo przekazywała nasza literatura. Dąbrowska podjęła sprawę „człowieka zbiegłego”, „marginesowca”, który dopiero w naszym ustroju odnajduje swoje drogę do ojczyzny. Jego pasja życiowa — ogródek działkowy — jest, jakby się zdawało, równie dziwna i blaha. Dąbrowska posłużyła się tym tematem jako pretekstem (co nie znaczy, że temat nie potraktowany jest realistycznie) dla bardzo osobistego wypowiedzenia się w sprawach wcale nie blahych, wcale nie marginesowych.

„Trzecia jesień” wychodzi wielką pisarką po raz pierwszy naprzeciw widokom socjalizmu i aprobeuje go w samej jego społecznej istocie. Ale zarazem zdaje się mówić w swym utworze: ile jest w naszej trosce o człowieka gapistwa, bezdusznosci, jak często stają one na przeszkodzie w odnalezieniu się ludzi w naszym „pracowniczym postępie”!

„Ucieczka Felka Okonia” utrzymała jest — według mnie — podobnie jak większość Iwaszkiewiczkowskich utworów, w sztafetu romantycznym.

Reala nie grają tam tej roli, co u Dąbrowskiej. Wielu obraża się z tego powodu, że pisarz nie potrafił przewodzić. Ułai! wartość opowiadania Iwaszkiewicza upatrują w czymś całkiem innym — w hymnie na cześć ludzkiej samotności. Jest jakaś wielka pochwała życia w postaci Felka (podał się za robotnicę), pochwała patriotyzmu, w którym jest mniej jest racjonalnych pierwiastków, a więcej „skowytu duszy”. Rozwinięciu malowniczych kreobrań duszy, pięknego twórczości, biologiczne o niemożliwość przywiązania do ojczyzny służą tarapaty bohatera. Czy trzeba być tak mało-skrywym, żeby obrazić się z powodu ich malej tu i ówdzie wiarygodności?

Tematycznie zbliżone do „Ucieczki” jest opowiadanie Tadeusza Konwickiego, które nie mogłoby, niestety, wyjść z tego porównania obroną ręką. Młody prozaik, który złożył już dowody swego talentu pisarskiego, i w „Powrocie” jest na tropie ciekawej, odkrywczej problematyki.

Chłopcy pracujący przy uruchomieniu wielkiej elektroniki — ostatniego krzyku techniki — cierpią nudę, tęsknią za przysgodą, roją o ucieczce z granicy. „Powrót” jest wołaniem o uwolnienie młodzi z romantyki socjalizmu, tego najbardziej przeżytego romantycznego ustroju. Kon-

wicki pokazuje, że samo budownictwo socjalistyczne może się stać dla młodych wielką przysgodą. Ale w opowiadaniu blado pokazane są charaktery chłopów, a stary robotnik i inżynierowie — w sposób dość monotony. Wskutek tego opowiadanie, skierowane przeciw szarym życiu, samo nie ma dość barwy i ciepła, którymi przecież Konwicki umiał obdarzyć bohaterów swych innych utworów.

Zawód sprawia cykl „Opowiadań lirycznych” Jerzego Broszkiewicza. Małe opowiadanie nie może się kontentować małą myślą. Tymczasem myśli małych opowiadań Broszkiewicza nie są odkrywcze. „List” jest — na mój gust — lepszym spośród nich, ale i on nie zadowala. Chwyt nowelistyczny pomaga w nim głębiej przedstawić rozterkę matki z powodu wstąpienia syna do Partii, skonstruować jej „małe szczęście” z potrzebą „wielkiego szczęścia”. Krótka forma stawia pisarzowi szczególne wymagania. Każdy jej element — anegdota, styl, język, kąt spojenia — wszystko to musi być podporządkowane podstawowej idei opowiadania. Tymczasem na ów zasadniczy własny ton nie zdobył się Broszkiewicz z pierwszym cyklem krótkich opowiadań, a szersze znaczenie gubi albo w pretensjonalnych aluzjach albo w mglistej wieloznaczności.

WSPOMNIAŁEM na wstępie, że „wszystkoistyczne” teorie, godzące w samą istotę nowelistycznego gatunku, źle wpłynęły na rozwój noweli, tak bujnej w naszych dalszych i bliższych tradycjach. „Dzień dzisiejszy” na wielu stronach może służyć pięknym przykładem tego nadzwyczaj trudnego gatunku pisarstwa, który w niewielkiej kropki potrafi objąć przestrzenie głębie współczesności.

„Dzień dzisiejszy”, Czytelnik 1954 r., str. 227, cena 14 zł.

Poważnie o »comicsach«



Typowa okładka „comicsu” dla dzieci.

WIELKI PISARZ amerykański Howard Fast stwierdził kiedyś, że Amerykanie są najbardziej oszukującym narodem na świecie. Pamiętać o tym musimy, jeśli chcemy zrozumieć, dlaczego Amerykanie tolerują rządy dwóch zmieniających się partii burżuazyjnych i popisy senatora McCarthy'ego, dlaczego godzili się na agresję w Korei, a dziś akceptują broń jądrową Wehrmachtu.

Kto oszukuje naród amerykański? wiadomo. Czynią to wielkie koncerny i monopole, które zagarnęły władzę w Stanach Zjednoczonych. Wiadomo również, jakimi metodami się posługują. Szkoła i Kościół, prasa i film, radio i telewizja dzień w dzień tumaniają naród i wmawiają mu — przeważnie z powodzeniem — że Ameryka jest „najszczęśliwszym” krajem, że zyski Wall Street są rzeczą „naturalną”, że Wehrmacht służy „obronie Europy” itd.

Lecz jak to się dzieje? W jaki sposób obywatel amerykański już od wczesnej młodości przekonany zostaje, że żyje w „raju”? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w amerykańskich podręcznikach szkolnych, glorifikujących ustrój kapitalistyczny. I znajdujemy w tzw. „comicsach”, stanowiących niemal wyłączną lekturę dzieci amerykańskich. Problem „comicsów” ostatnio nasświetlony został w książce uczonego amerykańskiego dra Frederica Werthama pt. „Seduction of the Innocent” (Uwodzenie niewinnych). Z książki tej zapożyczymy materiał faktyczny oraz ilustracje.

CO TO SĄ „COMICSY”?

Wbrew rozpowszechnionemu u nas mniemaniu „comicsy” to nie są drukowane w gazetach amerykańskich historyjki obrazkowe. Te są w zasadzie przeznaczone dla dorosłych i są, jak stwierdza dr Wertham, wzorem przywitości w porównaniu z książkami „comicsowymi”, przeznaczonymi dla dzieci. Książeczki te, niewielkie kolorowe broszurki, sprzedawane za 10 centów w każdym kiosku, rozpowszechniane są ostatnio w ilości 90 milionów egzemplarzy miesięcznie. Każde dziecko amerykańskie poświęca kilka godzin dziennie na czytanie „comicsów”.

Jaka jest ich treść? Po 7-letnich studiach naukowych, po zapoznaniu się z całą literaturą „comicsową”, rozmowach z setkami i tysiącami dzieci, dr Wertham odpowiada na to pytanie. Trzecia „comicsów” jest zbrodnia, pięć albo — najczęściej — połączenie obu tych elementów. A pamię-

tując wciąż, że „comicsy” przeznaczone są dla dzieci od lat 4 (które przeglądają obrazki) do lat kilkunastu (które całą swą „edukację” czerpią z tych książeczek).

Już kolorowa przyciągająca oko dziecka okładka „comicsu” przedstawia scenę mordu, tortury lub gwałtu. Tytuły są częstokroć zredagowane w stylu „zbrodnia nie poplaca”, z tym, że słowo „zbrodnia” wydrukowane jest ogromną czcionką, podczas gdy dodatek „nie poplaca” ledwie widac. Obrazki wewnątrz książeczki zgodne są z okładką i tytułem.

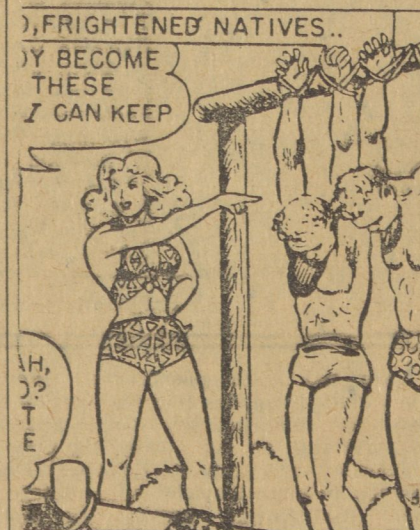
Oto typowy przykład przytoczony przez dr Werthama.

Na przestrzeni 97 obrazków zbrodniarze terroryzują otoczenie i bezkarnie mordują, gwałcą, biją. Na ostatnim obrazku „zwyrodniałe” zbrodniarstwo otoczony przez policję popełnia samobójstwo. Albo inny przykład. Książeczka ma 37 obrazków. Na 12 spośród nich widac sceny gwałcenia kobiet (to dla małych dzieci!).

Szczególną odmianą „comicsów” są książeczki, których bohaterem jest „Superman” (niedzielnik). „Superman” w różnych wariantach jest wlepieniem siły, przed którą wszyscy i wszystko muszą ustąpić. „Superman” zawsze zwycięża, torturuje swe ofiary, mordując je lub gwałcąc. Inną odmianą są książeczki, których tematem są zwierzenia miłosne. Te mają na okładce napis „Nie dla dzieci”, zachęcając, rzecz jasna, młodocianych czytelników do ich nabycia.

ZBRODNI I PLEC

„Comicsy” stają się dla młodzieży amerykańskiej szkołą przestępczości.



„Blond-bestia” torturuje tubylców.

Uczą one, jak popełnić zbrodnię — podpalić dom, ciężko ranić lub zabić ofiarę, powieścić „wroga” itd. Uczą również, jak posługiwać się bronią, i jak po popełnieniu zbrodni ukryć się przed wymiarem sprawiedliwości. Młodzież naśladuje bohaterów „comicsów”, korzysta z ich „fachowych” porad, a w wyniku rosnie z roku na rok fala przestępczości nieletnich.

Dr Wertham oblicza, że w ciągu ostatnich 7 lat przestępczość nieletnich wzrosła o 20 procent, przy czym coraz to młodsze dzieci popełniają coraz to poważniejsze przestępstwa. Autor opisyuje dokładnie stereotyp zbrodni, popełnionych przez młode dzieci, i wykazuje, że wszystkie one wzorowane były na „comicsach”. Jego wniosek brzmi: „Istnieje doniosła współzależność między czytaniem „comicsów” a bardziej poważnymi postaciami przestępczości nieletnich”.

Już po ukazaniu się pracy dra Werthama prasa amerykańska ogłosiła wiele doistnych informacji o przestępczości dzieci. Tak np. tygodnik „Newsweek” w numerze z 6 grudnia br. przytacza szereg przykładów zbrodni, popełnionych przez młode dzieci, jak podpalenie szkoły itd. „Newsweek” nie wini jednak tej sprawy z „comicsami”, o czym jeszcze później będzie mowa.

Element seksualny odgrywa — obok glorifikacji zbrodni — istotną rolę w



Z nowej teki rysunków Aleksandra Kobzeja

ANALFABETYZM I RASIZM

Badania dra Werthama wykazały, że jednym z ubocznych skutków „comicsów” jest analfabetyzm lub powrotny analfabetyzm młodzieży amerykańskiej. Miliony dzieci oglądają obrazki w „comicsach” zamiast czytać normalne książki dla dzieci. Teksty podane w „comicsach” zredagowane są w żargonie gangsterów, pisownia jest przeważnie „uproszczona”, a częstokroć „Superman” lub inne postacie „comicsów” posługują się nieartykułowatymi dźwiękami w rodzaju „Argghh”, „Yeow” itd.

Wynik jest taki, że jak pisał dr Wertham, powołując się na statystykę amerykańską, 5 do 10 proc. uczniów szkół średnich i studentów (11) trzeba uczyć czytać, a dodatkowe 10 do 15 procent czyta słabo i trzeba organizować dla nich specjalne lekcje czytania. Problem analfabetyzmu dzieci ponownie został ostatnio przez polskie reakcyjne czasopismo „Colliers” w numerze z 26 listopada br., lecz i w tym przypadku — bez powołania problemu ze sprawą „comicsów”.

Odrębnym zagadnieniem jest krwawienie przez „comicsy” idej rasizmu. Ofiarami „Supermana” i innych bohaterów są częstokroć Murzyni lub „tubylcy” (oczywiście kolorowi). Nie brak w tych książeczkach dla dzieci scen linczu i torturowania Murzynów. W jednej z książeczek „blond-bestia” wspomina z rozżewieniem swą przeszłość, kiedy była żoną strażnika w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Ilustracje pokazują jak jej mają torturować więźniów...

Dr Wertham stawia pytanie: „Jak w kilku słowach oddać zasadniczą naukę moralną „comicsów” dla dzieci?” Zamiast odpowiedzi przytacza następujące znane słowa: „Nie idź o prawo, lecz o zwycięstwo. Nie miedźle w sercu litości. Wystarczy brutalność. Racz ma silniejszy. Bądźcie jak najbardziej surowi. Przeciwdziałcie wroga aż go zwyciężycie...” Dr Wertham kontynuuje: „Słowa te były instrukcją, którą pewien „superman” dał swym generałom dnia 22 sierpnia 1939 roku w swym domu w Berchtesgaden. Instrukcja ta była wy-



Pod butem „Supermana”

tyczną, jak potraktować ludność podczas zbliżającej się wojny z Polską”.

W CZYM INTERESIE?

Kto zainteresowany jest w wydawaniu „comicsów”? Przede wszystkim wydawcy tych książeczek, przeważnie anonimowi, nie podający swych firm na okładkach. Dr Wertham oblicza, że obroty „przemysłu comicsów” sięgają 100 milionów dolarów rocznie, a zyski — wielu milionów dolarów,



„Comicsy” uczą dzieci sadyzmu.

Przemysł ten zatrudnił wielu „ekspertów”, wykazujących, że „comicsy” jakoby „nie szkodzą dzieciom”. Zatrudnił adwokatów, którzy paraliżują wszelkie wysiłki, zmierzające do ustawowego ograniczenia lub cenzurowania „comicsów”. I zatrudnił polityków, występujących w obronie tej trucizny.

Dr Wertham opowiada, jak usiłował przeformować ustawy przeciw „comicsom” i jak napotykał zorganizowany opór ich wydawców, prasy amerykańskiej, związanej z tymi wydawcami i dlatego nie atakującej „comicsów”, oraz polityków zarówno z Partii Demokratycznej, jak i z Partii Republikańskiej. W szczególności zwraca się on ze znanym senatorem „demokratycznym” Kefauverem i z republikańskim gubernatorem Nowego Jorku Deweyem. Oba uchylili się od akcji przeciw „comicsom”.

Dlaczego politycy amerykańscy, dla czego prasa amerykańska toleruje „comicsy”? Dlaczego ciążą się bezkarnością gangsterzy pióra, zatrważają dusze milionów dzieci? Dlaczego władcy Ameryki godzą się na demoralizację młodego pokolenia?

Dlaczego, że leży to w ich interesie!

Morganowie i Rockefellerowie za interesowani są, by analfabetyzm, a przynajmniej analfabetyzm polityczny, był w Ameryce jak najbardziej powszechny. Przecież jak długo robotnik amerykański nie jest uświadomiony, tak długo nie wystąpi on przeciw rządowi monopoli. Koncerny z Wall Street zainteresowane są, by młodzież wychowywana była w atmosferze, w której gwałt, przemoc i brutalność ciążą się po powołaniach. Przecież bez takiej atmosfery trudniej ni byłoby wysłać żołnierzy amerykańskich na front koreański. Miliardery amerykańscy chętnie widzą propagandę idei „supermana”. Przecież idea ta sprzyja ich programowi amerykańskiej dominacji nad całą kulą ziemską.

Ludzie sprawujący władzę w Stanach Zjednoczonych nie znają chyba polskiego przysłowia: „Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość traci”. Lecz znają jego sens i dlatego chętnie widzą zatrutową młodzież przez „comicsy”.

GRZEGORZ JASZUNSKI

SWIAT ZMIENIA OD KOSTKI TORFU do torfowej elektrowni

Polska jest krajem w torf bardzo bogatym: torfowiska zajmują powierzchnię około 1 800 000 ha, a ich pojemność szacuje się na około 4 miliardów ton surowca torfowego, zawierającego ogromne zapasy energii cieplnej.

Torf jest młodszy biotem węgla kamiennego. Wprawdzie węgiel powstał z drzew głównie z rodziny paproci, a torf — z sitowia, trzcin, skrzypów, turzyc, elch, brzozy i mchów, ale sam proces powstawania jest podobny.

Torf przestał być ignorowaną kopalnią. Doczekał się wielkiej kariery dzięki bardzo wszechstronnej użyteczności. Oto bowiem pobieżnie wymienienie torfopochodnych: benzyna, barwniki, węgiel aktywny, koks, półkoks, spiryty drzewny, salmiak, kreozot, karbol, parafina, pak, ciężkie smary, lekkie oleje, kwas octowy, amoniak, aceton, lizol, siarczan amonu, itd. Artykuły te można otrzymać drogą przerobki chemicznej torfu.

Opał w postaci cegiełek torfu powietrznego (suszonego na powietrzu) o wartości około 3000 kilo kalorii nie ustępuje drzewu i węglowi brunatnemu. Lepszym od nich opałem są brykiety torfowe, powstające przez prasowanie proszku torfowego. Znoszą one dobrze dalszy transport, a ich wartość opałowa wynosi około 4000 kcal/kg, są więc już pełnowartościowym paliwem przemysłowym i domowym.

Ala brykiety to jeszcze nie najlepsze opał torfowy. Półkoks torfowy (wynik przerobki chemicznej) reprezentuje wartość opałową 7000—7500 kcal/kg, to jest tyle, co bardzo dobre węgiel kamienny. Półkoks jest łatwy zapalny, pali się krótkim płomieniem, bez dymu i sadzy. Nadaje się znakomicie do centralnego ogrzewania, nie mówiąc już o zwykłych piecach domowych. Używany jest również do napędu samochodów za pośrednictwem generatorów gazowych, przy czym 1 litr benzyny można zastąpić 1,1 kg koksu.

Pewne gatunki torfu są surowcem dla produkcji proszku asenizacyjnego, który służy do poprawiania stanu sanitarnego nie skanalizowanych miast i osiedli. Proszek ten czyni z nagromadzonych fekalii i odpadków bezwoną masę, w której tracą swą żywotność szkodliwe dla zdrowia ludzkiego mikroby nawet takie, jak laseczniki wąglika.

W ogrodnictwie powodzeniem cieszą się doniczki torfowe, a obrypowanie roślin torfem ułatwia walkę z chwastami. W budownictwie stosuje się płyty torfowe, stanowiące dobrą izolację termiczną i akustyczną. W medycynie znane są od dawna uzdrawiające właściwości kąpiei i okładów błotnych z torfu, zwanych popularnie borowinami. Ostatnio wykryto, że torf posiada właściwość radioaktywną.

Gady panami świata przed 200 milionami lat

W popularno-naukowym miesięczniku francuskim „Science et vie” uczeni C. i G. Pasteur'owie opublikowali ciekawy artykuł na temat „epoki gadów”, stanowiący długotrwały rozdział w historii życia na Ziemi. Oto fragmenty:

Jeżeli chodzi o świat zwierząt, to przetrwały mieszkańcy Europy przywykli do gatunków i rodzajów o niewielkich stosunkowo wymiarach, o formach łagodnych, na ogół dość proporcjonalnych. Już żubr czy bizon zadziwiał nas swymi kształtami; wobec żyrafy, wielbłąda czy słonia stajemy — w ogrozie zoologicznym — wręcz oszołomieni, jeśli nie oswoiliśmy się z nimi uprzednio na podstawie rysunków czy fotografii.

A cóż dopiero, gdyby tak ujrzyć potwornych rozmiarów gady, jakie żyły na naszej planecie w czasach, kiedy to nie pojawił się jeszcze na niej człowiek. Gady te zjawiały się na ziemi około 250 milionów lat temu i przez okres blisko 200 mln lat były „panami świata”. Były wśród nich gatunki olbrzymie, o tak dżokowych kształtach, że mamut znany człowiekowi z epoki lodowej bezporównywalnie, a dzisiejszemu — z wykopanki, uchodzić może za zwierzę... nieduże i prawie... swojskie.

Budowę i wygląd takich gadów, jak dinozaur, ichiozaur i inne, odzwierciedla paleontolog i zoolog na podstawie odkopanych szkieletów, często bardzo ułomkowych, a niekiedy wręcz niezmiernie drobnych szczątków kopalnych i odcisków geologicznych. Umiejętność rekonstruowania z tak znikomoego nielicznego materiału badawczego — pełnych kształtów zwierząt minionych epok, a w związku z tym i sposobów ich życia, jest przejawem potęg myśli naukowej człowieka.

Tak więc, na długo przed pojawieniem się pierwszych ssaków (65 mln lat temu) — lądy i morza, a nawet powietrze, „załudnione” były przez małe i wielkie gady.



Pterozaur — gady skrzydlate

Z gadów pływających jedne przystosowane były do przebywania w głębinach wód morskich: — to ichiozaur (z greckiego — „jaszczurka rybia”), podobne nieco do dzisiejszych delfinów, lecz wyposażone w długi ryj krokodyli; inne — pleziozaur — przypominające z racji swej bardzo długiej szyi węże, pływające po powierzchni wodnej i często „ładowały”, poruszając się wtedy na podobieństwo fok. Niektóre z gadów wodnych miały wielkie rozmiary, sięgające 12 m długości, inny gatunek wyróżniał się niezwykle wielkością oku (pół metra średnicy) itd. Różnorodność gadów morskich była wręcz ogromna.

Określenie — „gady latające” — należy przyjąć z pewną rezerwą. Chodzi bowiem o to, że błona w skrzydłach tych gadów (pterozaur — jaszczurka skrzydlate) była połączona ze skrajnym — niezwyklej długości — palcem przedniej kończyny. Pterozaur, rozpostarłszy skrzydła, mógł więc unosić się w powietrzu, był to jednak raczej lot ślizgowy, niż swobodne latanie. Wśród pterozaurów były gatunki zarówno olbrzymie, jak i małe — na miarę naszego wrobla — gadów skrzydlatych.

Monstrualne wręcz olbrzymie występowały wśród gadów lądowych — dinozaurów („jaszczurki straszliwe”). Oto przypominały nieco swym wyglądem żyrafę — brachiozaur, długością swą sięgający 35 m. Jeszcze odcień dłuższy (do 40 m) gigantozaur, o wzroście — licząc od ziemi — co czubek głowy — 22 m. Było to największe zwierzę, jakie kiedykolwiek zamieszkiwało kulę ziemską. Olbrzymie dipodoksy ważyły 25 ton. A wszystkie wymienione gady i szereg innych przedstawicieli tej grupy charakteryzowały się potężnymi ogonami i bardzo długimi szczytami, na których osadzone były nieproporcjonalnie małe głowy. O rozmiarach stopu takiego olbrzyma-gada daje pojęcie choćby fakt, że w odkopanym przez uczonych szkielet (odcisknięty w warstwie ziemi) stopy zmieścił się może ponad 80 litrów wody.

Wszystkie te, tak monstrualne wielkie zwierzęta były trawożerne. Łatwo wyobrazić sobie, ile musiały zjadać różnych tamtoczesnych roślin, by nakarmić swe olbrzymie ciała. Nie największy bynajmniej z nich, dipodoksy, musiał zjadać dziennie około... 300 kg paszy.

Wielkie gady lądowe były, jak się zdaje, bardzo długowieczne, mogły

Miażdżycy — chorobą nie tylko starości

Są możliwości jej leczenia i zapobiegania

Dane statystyczne wskazują, że połowa wszystkich osób zmarłych w wieku lat 50 oraz ponad 85% osób zmarłych po 75 roku życia jest dotknięta miażdżycą lub jej następstwami. Wzrastająca liczba doniesień o przypadkach zmian miażdżycowych u osób młodych, a nawet u dzieci, przyczyniła się ostatnio do nagromadzenia dowodów, że choroba ta nie jest nieuniknioną konsekwencją starzenia się, jak to do niedawna przyjmowano, lecz wynikiem różnych czynników, działających na krew i tkankę naczyniową. A dodać warto, że badania najnowsze, przeprowadzone przez lekarzy amerykańskich na żołnierzach poległych w wojnie koreańskiej, wykazały u 70% tych żołnierzy zmiany miażdżycowe w tętnicach wieńcowych serca. Rzecz jest tym szczególniejsza, że przeciętny wiek poległych żołnierzy amerykańskich wynosił zaledwie 21 lat!

Pogląd na miażdżycę, jako na nieubłagana konsekwencję życia i zużycia naczyni, a więc — procesu naturalny nie poddający się leczeniu ani zapobieganiu — hamował przez długi czas postęp badań nad przyczynami powstawania i rozwoju tej choroby. Dziś, kiedy choroby serca i naczyni krwionośnych stały się najczęstszymi cierpieniami człowieka, zagadnienie miażdżycy jest jednym z czołowych problemów medycyny współczesnej.

Miażdżycy nie jest związana bezpośrednio z warunkami współczesnego życia. Jest plagą człowieka od dawna, a dokładne badania na mumiach egipskich wykazały, że rozpowszechniona była już przed 3000 lat.

Co rozumiemy pod nazwą „miażdżycy”?

Do niedawna obejmowano nią całą grupę chorób, charakteryzujących się stwardnieniem tętnic (arteriosclerosis). Dziś termin „miażdżycy” (atherosclerosis) oznacza tylko jedną z postaci stwardnienia tętnic. Jej cechą główną jest — zwężenie, a nawet zamknięcie światła tętnic. Dzieje się tak w wyniku powstawania w wewnętrznych ściankach tętnic — złogów lipidowych (substancja tłuszczowa), szczególnie cholesterolu (kryształiczny, tłuszczowaty alkohol, znajdujący się m. in. w żółci, żółtku jajka, w tkankach nerwowych itd.) oraz w wyniku nadmiernej rozrozwijalności naczyń. Zwiększenie światła tętnic wywołuje z kolei zaburzenia w krążeniu krwi i działalności serca, mózgu i nerek.

Przyczyny powstawania miażdżycy nie są dotychczas przez naukę poznane, ale prace doświadczalne na zwierzętach są ogromnie trudnione tym, że zmiany miażdżycowe u zwierząt występują bardzo rzadko i w bardzo niskim stopniu. Spośród wszystkich ssaków tylko człowiek odznacza się szczególną skłonnością do tej choroby.

W ostatnich latach wyłania się nowa koncepcja przyczyn powstawania miażdżycy. Koncepcja ta przyjmuje, że grają tu rolę głównie dwa czyn-

W połowie bm. odbyła się w Warszawie narada robocza na temat patogenezy miażdżycy. Organizatorem jej był Komitet Nauk Medycznych Polskiej Akademii Nauk.

W naradzie wzięło udział kilkudziesięciu wybitnych naszych uczonych i praktyków-specjalistów. Zadaniem narady było — poza podsumowaniem dotychczasowego dorobku wiedzy w tym zakresie — wytyczenie planu badań naukowych nad patogenezą miażdżycy, choroby o rosnącym znaczeniu społecznym. Bowiem miażdżycę dają się we znaki przede wszystkim ludziom młodym, a więc — w społeczeństwie, ludziom wyjątkowej pracy intelektualnej, prowadzącym — z racji szczególnego charakteru swych zajęć — nie umiarkowany tryb życia. Miażdżycę jest też główną przyczyną zawałów mięśnia sercowego.

Referat o patologii miażdżycy w ujęciu syntetycznym opracowany został przez prof. dr. Dymitra Aleksandrowa z dr. A. Michajlika pt. „OBECNY STAN WIEDZY O PATOGENIEZIE MIAŻDŻYCY”. Fragmenty tego referatu złożyły się na artykuł, który drukujemy.

nikli: — zaburzenia biochemiczne (zmiany w składzie krwi), oraz zaburzenia wynikające z różnych mechanizmów, toksycznych i innych uszkodzeń tętnic. Po linii tej koncepcji toczy się główny nurt badań współczesnych.

Jakkolwiek nie znamy dziś jeszcze przyczyn powstawania miażdżycy, stwierdzić jednak można, że do czynników, sprzyjających jej powstawaniu można zaliczyć: uszkodzenie ściany naczyniowej (tętnicy) przez czynniki mechaniczne, fizyczne lub chemiczne; zmiany w strukturze chemicznej podstawowej ściany naczyniowej, spowodowane np. przez awitaminozę C (u świnki morskiej); nadciśnienie tętnic; dietę wysokokaloryczną ze wzrostem wagi ciała (otyłość); tłumienie lub zahamowanie czynności tarczycy; podwyższenie poziomu lipidów we krwi przez niektóre hormony; wiek i płeć, wreszcie — układ nerwowy.

Cholesterol (stały alkohol) wchodzi w skład ciała człowieka, zawiera go najwięcej skóra i tkanka nerwowa, a znajduje się też i we krwi. Badania statystyczne wykazały, że większość osób z miażdżycą ma podwyższoną zawartość cholesterolu we krwi. Jednak rola tego składnika, podobnie jak fosfolipidów i niektórych białek, w powstawaniu miażdżycy nie jest dostatecznie wyjaśniona, konieczne są więc dalsze badania i doświadczenia.

Cholesterol krąży we krwi w powiązaniu z białkami, tworząc kompleksy lipidoproteinowe. Stwierdzono, że we krwi chorych na miażdżycę znajdują się nieprawidłowe cząsteczki lipidoproteinowe, o małej gęstości, o dużych wymiarach. Cząsteczki te badane są za pomocą ultrawidła.

Sposób oddziaływania wydaje się mieć pewien wpływ na rozwój miażdżycy.

A. Żermundski — członek korespondent Białoruskiej Akademii Nauk i inż. A. Gawroński

Energie ciepłą wnętrza ziemi przetworzymy w elektryczną

Już dawno zauważono, że im dalej w głąb ziemi, tym wyższa jest temperatura. Na każde 30 metrów podnosi się ona mniej więcej o 1 stopień. W głąbiskach kopalin i szybów wiertniczych temperatura dochodzi do kilkudziesięciu stopni. I nigdzie nie zdołał człowiek dotrzeć swymi narzędziami pomiarowymi tak głęboko, aby móc stwierdzić, że temperatura przestaje się podnosić.

Toteż długo utrzymywało się przekonanie, że owo podnoszenie się temperatury nie ustaje do samego środka ziemi, gdzie — jak sądzono — pod olbrzymim ciśnieniem warstw, leżących do niej, panuje temperatura ognia kosmicznego, jakim miała plonąć niedługo nasza planeta.

Z czasem hipotezę o gorącej-płymnej budowie środka ziemi poddano wątpliwości. Według teorii członka Akademii Nauk ZSRR, O. Schmidta, ziemia powstała z zimnej mgławicy. Rozgrzanie jej tłumaczy się nie tyle ciśnieniem warstw górnych, co rozpadem elementów radioaktywnych, zalegających na niewielkich głębokościach, zaledwie 20—30 km poniżej powierzchni ziemi. Wytwarzanie się olbrzymich ilości ciepła we wnętrzu ziemi jest więc wynikiem reakcji jądrowych.

Tam, gdzie nagromadziło się szczególnie dużo pierwiastków promieniotwórczych lub gdzie skorupa ziemska jest mniej wytrzymała (np. w miejscach załamania czy przesunięć), energia ciepła wnętrza ziemi przedostaje się niekiedy na zewnątrz. I wówczas wybuchają wulkany, wyrzucając w powietrze ogromne ilości pyłów i gazów, tryskając lawą — ognistymi rzekami roztopionych minerałów, wstrząsając powierzchnią ziemi na wiele dziesiątków kilometrów dokoła.

Niepodobna prawie obliczyć — nawet w przybliżeniu — ilość energii, uwalnianej w gorącym wnętrzu ziemi. Wiemy jednak, że jest ona olbrzymia, a człowiek MUSI NAUCZYĆ SIĘ zużywać ją na swoje potrzeby. Niełatwo to sprawa. Na głębokość 20—30 km przeniknąć do tych zasobów jest niezwykle trudne i one — „prymitywne” pierzasty stwardniały. Lecz nie mogą wydobyc ukrytych tam skarbów energii.

Są jednak na kuli ziemskiej miejsca, gdzie energia wnętrza ziemi podnosi się do górnych warstw skorupy ziemskiej — i to nie tylko w postaci wściekłych wybuchów wulkanów. W okolicach górskich i podgórskich częstokroć wytryskują gorące źródła. W okolicach wulkanicznych częste są pulsujące fontanny wrzątku — gejzery i wydobywające się pary. Na stokach wulkanów — ze szczelin —

W Związku Radzieckim stosunkowo najlepiej zbadane zostały gorące źródła na Kamczacie. Para bije z jednego z tych gejzerów („Wielkan”) na ogromną wysokość, temperatura wody innego sięga 100 st. C. Na półwyspie Czukczów jest wiele gejzerów o temperaturze 78 st. do 85 st. C.

Są już na kuli ziemskiej miejsca, gdzie człowiek wykorzystuje energię

Kalendarz Matki i Dziecka na rok 1955

W sprzedaży księgarskiej ukazał się nowy typ kalendarza, opracowanego specjalnie na użytek i potrzeby matek i rodziców wiskich. Udział w jego opracowaniu wzięli wybitni specjaliści w zakresie higieny matki i dziecka; autorem tekstów jest dr. H. Słomczyńska, opiniował Komitet wiskich. Udział w jego opracowaniu wzięli wybitni specjaliści w zakresie higieny matki i dziecka; autorem tekstów jest dr. H. Słomczyńska, opiniował Komitet wiskich. Udział w jego opracowaniu wzięli wybitni specjaliści w zakresie higieny matki i dziecka; autorem tekstów jest dr. H. Słomczyńska, opiniował Komitet wiskich.

„Kalendarz Matki i Dziecka” pomyślano jako niezbędny podręcznik-informator dla rodzin i matek wiskich, stanowi jednocześnie dużą pomoc dla lekarzy, higienistów, służby sanitarniej, zawiera bowiem cenne rady, wskazówki i zalecenia, co do pielęgnowania i wychowania dzieci od wieku niemowlęcego do trzech lat życia.

W kalendarzu podane są krótkie, barwne ilustracje, które uzupełniają najważniejsze wiadomości o postępowaniu i zachowaniu się kobiety przed i po porodzie.

na podstawie doświadczeń, że MEZCZYŻNI zapadają na miażdżycę kilkakrotnie częściej, niż kobiety. Być może, zależy to od hormonów płciowych, tym bardziej, że częstość zapadania na miażdżycę u kobiet wzrasta po okresie przekwitania.

Istnieje też wiele dowodów na to, że nadciśnienie krwi przyspiesza i wzmacnia postęp miażdżycy.

Wiele jest więc czynników, wiążących się z patogenezą miażdżycy. A w grę wchodzi jeszcze jeden, któremu dotychczas bardzo mało poświęcano uwagi, mianowicie — zaburzenia nerwowej regulacji naczyniowo-ruchowej i metabolizmu (przemiana materii).

Udział kory mózgowej w regulacji procesów krążenia nie ulega wątpliwości. — „Spośród wszystkich narządów życia wegetatywnego, mówi radziecki uczyony, prof. Bykow, narząd krążenia bierze bodaj największy udział w wytwarzaniu warunków, zapewniających szybkie przestrojenie procesów tkankowych wskutek zmian warunków bytu ustroju, jako całości, w otaczającym go środowisku. Przyspieszenie czynności serca i rozszerzenie naczyń skórných przy przeżyciach emocjonalnych — należą do zjawisk, zarejestrowanych jeszcze przed powstaniem nauki o czynnościach ustroju”.

Jest rzeczą pewną, że nieregularny, nerwowy tryb życia sprzyja powstawaniu zmian miażdżycowych.

W obecnym stanie wiedzy lekarskiej nie możemy jeszcze ustalić z całą pewnością przyczyn powstawania i rozwoju miażdżycy, aczkolwiek współzależności istniejące między tą chorobą, a szeregiem czynników (dieta, tarcza, otyłość, nadciśnienie, urazy mechaniczne itd.) stwierdzone zostały niewątpliwie. Ale odkąd wiemy, że choroba ta ma swe źródła w zaburzeniach natury biochemicznej (ściślej — białkowo-tuszczowej), że nie jest wyrazem starzenia się ustroju i zużycia tętnic, że proces jej rozwoju może być nie tylko zahamowany, lecz nawet cofnięty — odtąd znakomicie zwiększyły się możliwości leczenia i nawet zapobiegania miażdżycy.

W wielu ośrodkach naukowych na całym świecie toczą się intensywne prace badawcze nad wykręceniem przyczyn i dokładnym poznanem procesu rozwojowego miażdżycy. Współuczestniczą w nich — z zaplanowaną tematyką badań — polski świat lekarski.

Opracowała K. M.

ciepłą głąb ziemi. Stolica Islandii, Reykjavik, ogrzewana jest gorącą wodą gejzerów. We Włoszech na energii pary podziemnej pracuje elektrownia. Ale są to dopiero skromne początki wykorzystywania skarbów podziemnych.

Do ogrzewania można by użytkować wodę ze źródeł o temperaturze od 40 do 100 st. Niestety bezpośrednie przesyłanie ciepła jest możliwe jedynie na niewielkie stosunkowo odległości, 6—10 km. Dlatego też celowe jest przetwarzanie energii cieplnej na elektryczną.

Para i gazy, uzyskane w drodze głębokich wierceń w strefach wulkanicznych, mogą być wykorzystane w turbinach parowych i gazowych zwykłego typu, pod warunkiem jednak, że owe para i gazy nie będą zawierały szkodliwych domieszek. W przeciwnym razie — parą gorącego źródła trzeba ogrzewać czystą wodę i dopiero czystą parę można skierować do poruszania turbin.

Elektrownia geotermiczna, czyli funkcjonująca na energii cieplnej czerpanej z głąb ziemi, będzie zgoła niepodobna ani do współczesnych elektrowni, ani do elektrowni wodnych. Budowa elektrowni geotermicznej wypadnie — według przybliżonej kalkulacji — 5—6 razy taniej, niż elektrowni wodnej. Wytwarzanie energii w elektrowni geotermicznej wypadnie 8—10 razy taniej, niż w elektrowni cieplnej i 2—3 razy taniej, niż w — wodnej. A w gorącej wodzie i parze, wydobywających się z głąb ziemi, znajdują się cenne pierwiastki chemiczne, jak: bor, arsen, jod, brom, siarka itd. Ich odizolowanie i przemysłowe wykorzystanie jeszcze obniży koszt energii elektrycznej.

Wyszukanie energii głąb ziemi ze stref wulkanicznych rozszerzać się będzie stopniowo na obszary górskie i podgórskie, w miarę doskonałości się techniki i pogłębiania wierceń. Niewątpliwie duże trudności nastrożą wiercenie na głębokości 10—20—40 kilometrów, gdzie właśnie należy się spodziewać dostatecznie wysokiej temperatury wody i pary.

Ala już dziś możemy sobie wyobrazić, że technika wierceń, na wielkich głębokościach posługująca się będzie specjalnymi, pospieszonymi, termoelektrycznymi turbinami. Swidry takie rozpoczną pracę w górnych warstwach ziemi, jako zwykłe swidry turbieletktryczne, następną zaś przełączoną zostaną na wyzyskanie energii cieplnej, której potencjał będzie wciąż wzrastał w miarę posuwania się swidra w głąb skorupy ziemskiej. W ten sposób będziemy mogli dotrzeć do stref głęboko-ciepłych, w których znajdują się zbiorniki magmy.

Po przebiegu warstw leżących przy magmie, ten wulkaniczny materiał będzie przetwarzać się gwałtownie w stan ciekły i gazowy. Wówczas strumienie rozpalonych gazów i pary o bardzo wysokim ciśnieniu wrac będą ku powierzchni ziemi, podobnie — jak to czynią wulkany. Lecz energia owych „sztucznych” wulkanów będzie skierowana drogami z góry wyznaczonymi przez człowieka. Nad każdym z nich wzniesie człowiek gmach elektrowni geotermicznej, wytwarzającej niesłychanie tanio energię elektryczną.

Tłumaczył J. W.

STRÓŻ CZARCIEGO JARU

Do Czarciego Jaru dochodziły z daleka głucho detonacje wybuchów artyleryjskich. Spokojna i ukryta w borze dolina jeszcze do niedawna nie wiedziała co to wojna. Odczuwając ją ze wszystkich stron las chronił przed wszelkimi niespodziankami. Był jej sprzymierzeńcem. Lecz nie na długo. Wojna zbliżała się wielkimi krokami.

— Co z sobą przyniesie? — dumal w samotności Leon Szwencfajer, jedyny mieszkaniec Czarciego Jaru.

Któregoś dnia wyłoniły się maski samochodów. Ciszę lasu przerwały brutalnie gardłowe okrzyki żołnierzy i warkot silników. Z kilkunastu samochodów składająca się kolumna nie zmieszczała się między budynkami. Wozy ukryto między drzewami pokrytymi grubymi warstwami śniegu, a ich eskorta rozgościła się w budynkach. Nie było ich w Jarze wiele. Stary Szwencfajer opuścił więc własne mieszkanie i przeniósł się do niewielkiej kłitki sąsiadującej przez ścianę z obórka. Czynił to bez żalu.

— Za parę dni — myślał — wyjadą. Im wybuchy wystrzałów będą bliższe, tym pobyt ich będzie krótszy. Jakos się wytrzyma.

Wojsko rozgościło się w dolinie jak u siebie w domu. Lecz rację miał stary Szwencfajer. Czwartego dnia w Jarze powstało wielkie zamieszanie i tumult. Z pośpiechem ładowano na samochody skrzynie, amunicję, żywność. Padły głośne nawoływania. Ostre rozkazy przebiegały powietrze i milki nagle, nerwowe. Podniecenie udzieliło się nawet Mazurowi. Patrzył szeroko rozwartymi oczyma na szamoczących się żołnierzy. Obserwował w napięciu ich ruchy i manewry samochodów, ustawiających się w jednym, długim szeregu.

Kolumna ruszyła w śnieżną biel lasu. Kiedy ostatni samochód skręcił się za zakrętem, Szwencfajer wyszedł ze swego ukrycia. W mroźnym po-

wietrzu skrzyły się srebrem drobiny śnieżne. Z gałęzi leciał szron i lekka warstwa zakrywała strątowane kolumny samochodów podwórce.

W każdym jego zakątku panował nieład i brud. Walały się szczątki rozbitych narzędzi gospodarskich, mebli, okien i futryn. Z wywiezionej ze stodoły siewczarki pozostały tylko żelazne części. Resztę spalono. Taki sam los spotkał podłogi wyrwane z izb mieszkalnych, Szwencfajer długo patrzył na obraz brutalnego zniszczenia. Ze ściągniętymi brwiami błędził po podwórzu, brodził w śniegu... Tu podniósł kawałek futryny, tam ramę okienną, jeszcze dalej deskę lub jakieś narzędzie gospodarskie.

Wreszcie ruszył w kierunku stawów. Spozą drzew zalsnia skłębła biela gładka i wymuskała wiatrem powierzchnia. Za nią druga, oddzielona wysoka groblą. W połowie grzbiła znajdował się niewielki budynek kryty dachówką. Jej czerwień wycierała plamami spod pokrywającego ją śniegu.

Drzwi do budowli były zawarte na głucho. Dwie wielkie wyrwy w oknach wskazywały jednak, iż piadrujący i tutaj pozostawili dowody żołdacko-hitlerowskiej kultury. Szwencfajer zajrzał przez wyrwy w oknach d. środka, i jednym spojrzeniem zbadł stan maszyn, tablicy rozdzielczej, liczników i bezpieczników. Wszystko zdawało się nie naruszone. Twarz starego Mazura rozchmurzyła się. Brwi odskoczyły od siebie, a z czoła znikła szeroka i głęboka bruzda. W oczach zalsniły radosne ogniki.

W budynku mieściła się lokalna elektrownia pobudowana przez byłego właściciela majątku, oficera sztabowego z pierwszej wojny światowej. Miała ona charakter czysto lokalny. W Czarcim Jarze miała powstać baza hodowlana szlachetnych gatunków ryb słodkowodnych. Z planów junkra

pruskiego niewiele dotychczas zrealizowano. Pobudowano zaledwie dwa stawy oraz elektrownię, do której wykorzystano spadek wód.

Szwencfajer sędził budowlane zamysły z chłodną obojętnością. — Niech to buduje — myślał. — Jest wojna, a ona niejednemu przyniesie wiele smutnych rozczarowań. Jeszcze nie wiadomo, kto tu będzie gospodarzył...

Właściciel „czarich włości” opuścił wraz z rodziną swój pałac, położony w odległości trzech kilometrów od Jaru, jeszcze w listopadzie 1944 roku. Już wtedy grunt pałacu stał pod nogami. Uciekając zalecił staremu Mazurowi opiekę nad Czarcim Jarem.

— Pewnie, że będę pilnował, ale nie dla ciebie wytykło hitlerowskie — pomyślał Szwencfajer, rzucając ostatnie spojrzenie na znikający wśród drzew samochód osobowy. I pilnował. Po ucieczce żołnierzy zabrał się do porządków, zacierając skrzętnie ślady zniszczeń. W trakcie tych prac front przewalił się przez Czarcę Jar, wypielniacząc go hukiem rozrywających się pod lasem pocisków.

A potem nastąpiła cisza. Front oddalił się. Dni płynęły jednostajnie, miarowo. Przyszła wiosna, a z nią słońce. Pękły okowy lodów na strumieniu i stawach. Las wypełnił się śpiewem ptaków i ciepłem blasków słonecznych.

W maju skończyła się wojna. Serce „stróża” pojuńskich włości wypełnił spokój. W miarę jednak jak upływał czas, rosły kłopoty starego Mazura. Dobrze ukryty w głębi lasów Czarcę Jar bronił się długo przed ciekawością ludzką i przed dziko wędrującymi grupami szabrowników. Szwencfajer nie znalazł ich jeszcze i nie domyślał się nawet, że wernose swoją dla nieznanej Polski będzie musiał okupić wielkimi kłopotami i przykrościami. Pragnął przekazać Czarcę Jar władzy ludowej w stanie umożliwiającej dalszą jego eksploatację. Tu niczego nie mogło brakować. Motory i aparatura elektryczna musiała być na swoim miejscu. Mazur z radością myślał o tej chwili, przeprowadzając mniejsze lub większe naprawy budynków oraz zabezpieczając je przed dalszym zniszczeniem i dewastacją.

Wczesną jesienią w Czarcim Jarze pojawili się pierwsi poszukiwacze ukrytych w kniei skarbow. Zajrzeli tu i tam, przejeżdżali kłoty, pogadali i powędrowali dalej, odprowadzeni czujnym spojrzeniem Szwencfajera. Wizyta ta dała mu wiele do myślenia. Teraz już wiedział, że musi zwiększyć uwagę i że długo nie zasnę spokojnie, nawet tu — w cieniu wysokich świerków i sosen. I nie omylił się. Szabrownicy płynęli jak woda w wąskim potoku. Lecz Szwencfajer widział wszystko i wszystkich. Uzbrojony w potężny kostur wyłaniał się nagle z gąszczy, jak duch lesny i groźnie tyjąc białkami oczu mówił z budzącym dreszczem spokojem:

— Jedźcie w swoją drogę. Tu nie po was. To wszystko jest państwowe i ruszyć nie wolno, nawet deski czy gwoździe. Któregoś jednak dnia ci chęć dotychczas dolinę wypełniły krzyki i odgłosy walki. Oberwało się i agresywnym natrętem i Szwencfajerowi, broniącemu własności państwowej z istic żołnierskim bohaterstwem.

Napastnicy zniknęli w gąszczach leśnych, a pobity i pokrwawiony Mazur poszedł do izby opatrywać rany.

Wreszcie... Pewnego dnia do Czarciego Jaru przyjechali przedstawiciele władzy ludowej. Obejrzeli wszyst-

ko dokładnie, spisali, a potem w słowach chwytających za serce podziękowali Szwencfajerowi za jego troskę o dobro państwowe.

Dalsze wypadki potoczyły się z błyskawiczną szybkością. Do Czarciego Jaru przyjeżdżali ludzie, samochody, wozy. Zwożono materiały budowlane i narzędzia pracy. Robiono pomiary terenu. Rozpoczęła się wielka budowa.

Stary Mazur ze zdumieniem przyglądał się wyrastającym z ziemi budynkom. To już nie ta robota co dawniej. Tam było żółwie tempo i przypadkowość, tu planowa i systematyczna budowa.

Szwencfajer był wielkim świadkiem powstawania wielkiej hali węglowej ze wszystkimi urządzeniami. Kiedy ją pokryto dachem — rozpoczęło instalację aparatów kalifornijskich, w których już wiosną przyszłego roku nastąpi pierwszy wyłęg psgraw. Potem widział jak budowano lodownię-paszarnię, filtry, domy gospodarskie i administracyjne, stumetrowej długości betonowe rowy odwodowe. Cieszył się widokiem doprowadzonej linii elektrycznej do brzońnej, przez siebie elekrowni na grobli, budowę stawów hodowlanych. Duma wypełniała jego serce. Przecież gdyby nie on — nie byłoby od czego zacząć. To jego — Szwencfajera dzieło.

Stary Mazur wrócił niedawno z psgrawego kursu szkoleniowego w Opusznę. Wiosną obejmie kierownictwo hali węglowej. Największej placówki hodowlanej psgraw w Europie.

Przestrogi — nieświęteczne

„Jedynak”

Gospoda w Rucianem nie różni się specjalnie od innych gospód. W soboty jak, niestety, we wszystkich prawie gospodach, ruch alkoholu od bufetu do stołków jest wybitnie wzmożony, tak dalece, że „ewentualnie” podaje się w litrówkach. Ha, trudno, naczyni mieszczących równie 1/4 litra jest trochę za mało wobec przedświątecznego zapotrzebowania...

Na pewno ten lokal alkoholowo-spożywczy nie doczekałby się uwiecznienia go na łamach „Zycia”, bo wyżej opisane sprawy są dość nagminne, gdyby nie... Ale zacznijmy od początku.

Zastępił przy stoliku i przestudiował kartę. Okazało się jednak, że zupy „wyszyły” i może być kotlet schabowy albo Kiełbasa.

Zamówienie: raz kotlet i dwa razy kiełbasa.

„Nie upłynęło pacierzy wiele...”, a jadło, zadymilo parą przed nami. Sztuciec leżał też. Dopiero po chwili okazało się, że każdy z nas ma po dwa... widelce.

Czekaliśmy na kelnerkę — a jadło stygło.

— Trudno. Muszą panowie poczekać na swoją kolejkę...

— ...? — „...bo mamy tylko jeden nóż.”

A resztą przyniosła przecież po dwa widelce.

W wyniku na miejscu przeprowadzonych dochodzeń okazało się, że w ruciańskiej gospodzie ów nóż jest jedynakiem od kilku tygodni.

Rzecz prosta, jako okaz rzadki i prawie na wymarcie (czytaj — wykradzeniu) podlega jednakiem specjalnej opiece personelu. Czujne oczy kelnerki nieulewają obmacują każdego, kto miał szczęście posługiwać się tym cennym narzędziem.

Przeto, wędrowcze, o ile szlak twych podróży wiedzie cię przez Ru-

Rozjaśniły się mroki grudniowej nocy...

Łuża nad Nidą!

Tego dnia, a była to sobota 11 grudnia, od samego rana szosą z Rucianego wiodącą do Nidy, jechało wiele samochodów: „Stary”, „Lublin”, „Skody”, „Pobieda”, „Warszawy”. Każdy z pojazdów zatrzymywał się przed bramą Fabryki Płyt Piłśniowych „Nida”, a przybyli dołączali się do coraz liczniejszej grupy ludzi.

Nida... Cicha, mazurska wieś, kilka lat temu nikomu prawie nieznana nawet w naszym województwie, gościła w tym dniu ludzi z różnych stron Polski. Uroczystość uruchomienia „Nidy” zgromadziło w położonej wśród puszczy wsi delegację zalog ze wszystkich zakładów produkujących płyty pilśniowe i sklejkę.

Godz. 11.45. Kierownik Ministerstwa Przemysłu Drzewnego i Papierniczego ob. J. Knapik przecina wstęgę i w chwili potem pierwszą wiązką odpadów drzewnych, niesioną mechanicznym transporterem wpada w stalowe szczęki rębaczki. W hali mieszczącej urządzenia rozdrabniające panuje trudny do opisanego hałas. Goście posuwają się w ślad za procesem produkcji, śledząc jego przebieg. Rozdrobnione drzewo wędruje dalej do maszyn noszących tajemnicze nazwy „holendrow” i „defibratorów”. W końcu zamienia się w wodno-drzewną papkę. Włókna drewna to już tylko włoski długości 7 mm. Miazga ta zostaje z kolei odwodniona i zaczyna przybierać kształt płyty. Wędruje dalej do suszarni — oczywiście za pomocą maszyn — bo od chwili załadowania na transporter aż do wyjścia z suszarni, cały proces produkcji odbywa się bez dotknięcia ręki.

Ob. Pluciennik, młody człowiek, którego zagadnieniem w tłumie zwiędających fabrykę, okazał się inżynierem, absolwentem Wydziału Technologii Drewna Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. W „Nidzie” jest „ośmiodziesiętnym” dyrektorem. To znaczy, pełni funkcje zlanowatego.

— Nie żał było opuszczać Warszawy, inżynierze? — zapytał.

— Nie. Jestem wprawdzie młody i duże miasto ma swe uroki, ale ta „fabryka na puszczy” wzięła mnie. Zakład, jak cacko.

Staliśmy na jednym z pięter hali, oparci o żelazną balustradę. Przechodzący obok robotnicy rozmawiali w gwiazie mazurskiej.

— To także mnie urokło — dodał po chwili inż. Pluciennik. — Ludzie tutaj, którzy budowali ten zakład, zdobywali na miejscu zawód.

Miał rację młody inżynier, twierdząc, że fabryka urzekła. Nie tylko jego to spotkało. Większość zalogi OPZB „sprzeniewierzyła się” budownictwu i została we wzniesionej przez siebie fabryce: Kozłowska, dawna pomoc murarska, podobnie Erna Wawender i główny elektryk — Kalinowski, odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi — to tylko kilka na chybił trafił wziętych przykładów.

W nowej, pięknej świetlicy odbyła się akademie. Kierownik Ministerstwa Przemysłu Drzewnego i Papierniczego ob. J. Knapik udekorował odznaczeniami pracowników zasłużonych w rozwoju przemysłu płyt pilśniowych. Potem z Olsztyna przyjechały zespoły WDKZZ i SP.

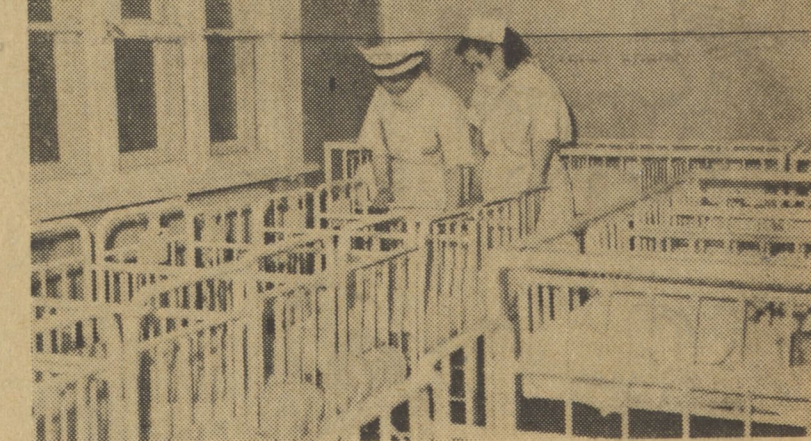
Wieczorem odjazd. Na tle granatowego, nocnego nieba, na tle ściany drzew, rosnących tuż — tuż za ogrodzeniem fabrycznym, jarzyły się światła nowego wielkiego zakładu.

Jeszcze z kilkunastokilometrowego oddalenia lasa widoczna nad puszcza mowała mieszkalna okolica wsi, że „Nida” ruszyła...

K. ROCKI

Roman Kogucki

Z wizytą u najmłodszych



Jednym z oddziałów szpitala wojewódzkiego w Olsztynie, na którym stale wszystkie łóżka są zajęte, jest oddział dla... noworodków.

Opiekę nad najmłodszymi obywatelami naszego miasta sprawują wykwalifikowane siły pielęgniarskie.

Na zdjęciu — przełożona pielęgniarek ob. Aldona Rudnicka (w czepku z czarną przepaską) w czasie obchodu sali.

(czo)

Olsztyn — coraz piękniejszy



Oblicze naszego miasta zmienia się coraz bardziej. W miejsce ruin i wypalonych domów powstają nowe piękne bloki mieszkalne i biurowe.

Na zdjęciu — nowowybudowany budynek Centrotfarmu przy pl. Armii Czerwonej. Mieści się w nim wzorowa apteka CAS.

(czo)

Święta w mieście

Jeśli przebywanie w domowych pieleszach w dni świąteczne uprzykrzy nam się — mamy do wyboru niemato rozrywek przygotowanych przez olsztyńskie placówki kulturalne.



Im. JARACZA w obydwa dni świąt gra sztukę I. Wołafskiego „Zróżdo pod gruszą”. Początek przedstawień — jak zwykle o godz. 19.

„CZERWONY KAPTUREK” w pierwszy dzień świąt będzie nieczynny. W drugi — o godz. 15 wystawia „Co się w lesie raz zdarzyło”.



Olsztyńskie wyświetlać będą 25 i 26 bm. następujące filmy:

W „ODRODZENIU” — o godz. 15, 17.30 i 20 „Wakacje pana Hulot” — prod. francuskiej, a na seansach nocnych (g. 22.15) w sobotę i niedzielę — film prod. polskiej „Autobus odchodzi o 6.20”.

W „POLONII” na porankach o godz. 10 i 12 ujrzymy 25 bm. bajkę „Szkralatny kwiatulek” a następnie „Kopciuszko”. Na seansach normalnych o godz. 14.30, 17 i 19.30 „Polonia” pokaże włoski film „Proces przeciwko miastu”, a na nocnych (g. 22) — „Ekspres z Norymbergi” — sensacyjny film produkcji CSR.

„AWANGARDA” w obydwa dni świąt wyświetlać będzie na porankach o 10 i 12 „Magiczne zabawki”, a na seansach popołudniowych (g. 14.30, 17 i 19.30) „Królów bał”. —

Dzieci będą mogły 25 i 26 bm. o godz. 11 obejrzeć w WDK piękną kolorową składankę filmowanych bajek nagrodzoną na festiwalu w Karlovych Varach. 25 bm. o godz. 16 będzie tam wyświetlany film „Stróżnica w górach”, zaś następnego dnia o godz. 16 zespół WDK wystąpi z wieczorem satyry, humoru i piosenki pt. „Po linii k.o.”.

Druk. BSW „PRASA” Marszałkowska 3/5
S-B-30910



Święta powinny nam upłynąć bez żadnych zakłóceń. Gdyby jednak trzeba było konieczne płucać komuś żoładek — karetka pogotowia przyjeżdża po zaalarmowaniu numeru 09, lub 22-22. W pierwszy dzień świąt dyżurnowad będzie apteka Nr 3 przy ul. Kościuszki 85, w drugi — Nr 41 przy pl. Armii Czerwonej.



Wozy tramwajowe, trolleybusy i autobusy kursować będą w obydwa dni świąt normalnie, wg. rozkładu niedzielnego.



Muzeum Mazurskie na zamku w pierwszy dzień świąt będzie zamknięte. W drugi w godzinach 10—15 obejrzać tam będzie można zbiory muzeum oraz ekspozycję wystaw plastyków.



W pierwszy dzień świąt czynne będą: „Nowoczesna”, w godz. 17 — 24, „Klubowa” — 19 — 2, „Warszawska”, „Smakosz”, „Pod Ratuszem”, „Zaczę”, i „Warmianka” — w godz. 10 — 22. Poza tym czynne będą 2 bufety — przy „Warmiance” i „Zaczę” — w godz. 9 — 22.

W dniu następnym restauracje oraz sklepy pracować będą tak jak w każdą niedzielę.

Ostrożnie ze świeczkami na chołcinie, bo chociaż straż pożarna (tel. 08) czuwa, dajmy naszym strażakom w święta trochę wytchnienia.

Nie powinno również zdarzyć się w naszym mieście nic takiego, byśmy musieli wzywać MO (tel. 21-64). Niech święta upłyną nam spokojnie, bezdomnia i radośnie.

O »scubelach« i »zilkach« stów kilka

Gdy zasiądziemy dziś przy wigilijnym stole, gdy lakomym okiem przyjrzymy się dorodnym karpom, szupczakom czy linom spoczywającym na półmiskach — niejedną z nas zastanowi się niewątpliwie nad tym w jaki sposób ryby te dotarły do naszego mieszkania, skąd się wzięły, kto je złowił itp.

Dłatego też, aby częściowo dać odpowiedź na te ewentualne pytania, zamieszczamy poniżej kilka ciekawostek z dziedziny rybołówstwa na Warmii i Mazurach, sięgając częściowo i do zakamarków myślistwa, które swego czasu było również jednym z dość popularnych zajęć miejscowej ludności.

Ryby były jednak bardziej atrakcyjne i to od dawna. Nie ma w tym nic dziwnego, jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt istnienia w dzisiejszym województwie olsztyńskim przeszło 2000 mniejszych lub większych jezior, ongiś niewątpliwie bardziej obfitujących w różne gatunki ryb, niż obecnie. Zrozumiałoby było też rzeczą, że w pobliżu tych jezior powstały wioski rybaczkie, a w niektórych rodzinach zawód ten przechodził z ojca na syna do dzisiejszego dnia.

Z myślistwem było natomiast inaczej. Zajęcie to wymagało przede wszystkim sprzętu, a nabywanie jego nie zawsze było możliwe. O ile więc Mazurzy i Warmiacy chętnie oddawali się rybołówstwu i obecnie w wielu miejscowościach czynnie włączyli się do planowej gospodarki rybnej, o tyle myślistwo traktowali przeważnie jako zajęcie uboczne, dające efekty jedynie wtedy, gdy zwierzęta sama wpadła w zastawione sidła. Zresztą częściowo system ten był także pewnego rodzaju samobroną przed dzikimi zwierzętami niszczącymi plony oraz żywy inwentarz gospodarczy.

OD „OŚCI” DO NIEWODU

Liczne systemy łowienia ryb trzeba e góry podzielić na dwie zasadnicze kategorie: »scubelach« i »zilkach«.

W kategorii: rybołówstwa indywidualnego, noszącego w samym założeniu zarodki kłusownictwa oraz rybołówstwa zbiorowego, które obecnie kształtuje się w postaci zorganizowanych ośrodków i brygad rybactkich. Dawnie, rzecz jasna, nie było nawet mowy o brygadach, planach itp., nie mieli jednak znano metody połowu sieciami, ciągniętymi przez kilku lub kilkunastu ludzi z brzegu, lub z łodzi.

I tak np. zarzucano na jeziora „drygawice”, „niewody”, „brodnie” i „kozy”, ciągnięto je przeważnie z łodziami i w określonym miejscu wydobywano pełne matnie. Najbardziej atrakcyjny i skuteczny połów odbywał się przy pomocy niewodów, długich na kilkaset metrów nawet więcej, które obejmowały swymi ramionami poważne polacie przeznaczonego do odłowu terenu. Niewód taki ciągnięto przez dwie lodzie rybactkie, które wydobyły za jednym ciągnięciem nawet kilka ton ryb. Niewodem łapano również w zimie, pod lodem.

Odbywało się to mniej więcej w taki sposób. Rybacy wyrabiali na lodowej tafli jeziora kilkanaście, lub kilkadziesiąt przerębi o średnicy ok. 50 cm każdy. Przerębie te tworzyły wspólnie ował o średnicy kilkudziesięciu, zależnie od długości niewodu, metrów. Z obydwu węższych końców tego owalu rabano przerębie znacznie większe, jedną do wypuszczania, drugą do wyciągania sieci. Przez wpust, czyli po mazursku „iloz” wypuszczano niewód do jeziora, a następnie „chochłą” przywiązano do skrzydła sieci, przesuwno je od przerębi do przerębi. W ten sposób przesuwno sieć aż do „halugii”, drugiej większej przerębi, służącej do wyciągnięcia pełnego niewodu. Ze względu na dość spory ciężar całosci oraz opór wody, liny sieciowe nawiązano na specjalne kolowroty, czyli „babu” umocowane na lodzie za „halugią”. Zdarzało się, że i to jeszcze w

ostatnich latach już po oswojebieniu Warmii i Mazur, że jednorazowo zaciąganie pod lodem dawało po 4—5 ton ryb. Taki udany połów nazywa się w rybactkiej gwarze „poninka”. Naszym dzielnym rybakom należałoby więc życzyć, aby mieli w swej karierze jak najwięcej „ponimek”.

Znaczenie bardziej popularne, choć mniej skuteczne było i jest łapanie ryb systemami indywidualnymi. Wymienione spośród nich należy „wondkowanie”, czyli łapanie na wędkę, zaopatrzoną w „strugie”, czyli przynętę, a osadzoną na długim „wentyzisku” z leszczyny, specjalnie do tego celu przygotowanej. Bardziej pomyślni rybacy-amatorzy, a właściwie kłusownicy używali do łapania ryb zimną tw. szlach, czyli drewnianych kolowrotów, a na wiosnę „ości”, czyli żelaznych grotów osadzonych na długich kijach i zręcznie wbiwanych w barki trących się ryb. Czemu również, w okresie twarda wybierano się na zalewy i szuwały, aby tam łapać gołymi rękoma zmęczone szupczaki.

Naturalnie wymienienie tych kilku dawno już znanych systemów nie wyczerpuje bynajmniej zagadnienia. Trzeba byłoby jeszcze wymienić najrozmaitsze „buki”, „bucze”, „węcioriki”, „podrywiki”, „żaki” itp., przy pomocy których wyciągano ryby z jezior. Należałoby również wspomnieć, jakie metody połowu są dziś dozwolone i stosowane, a jakie są zabronione. W każdym razie z całą pewnością możemy stwierdzić, że jeśli spotkamy osobnika uzbrojonego w zastrzyżony kij, to niewątpliwie będzie nim kłusownik „polujący” na trące się szupczaki przy pomocy tzw. „ości”. Zresztą zagadnienie racjonalnego rybactwa jest bardzo obszerne, a obecnie brak miejsca zmusza nas do przedsięwzięcia pełnego niewodu. Ze względu na dość spory ciężar całosci oraz opór wody, liny sieciowe nawiązano na specjalne kolowroty, czyli „babu” umocowane na lodzie za „halugią”. Zdarzało się, że i to jeszcze w

„ZILKI NA CHALUPĘ WLEŻLI”

Jak już wspomnieliśmy polowanie było wśród Mazurów i Warmian, ale

znacznie mniej popularne niż rybołówstwo i używano go dla przyjemności, prawie wyłącznie zamożni obywateli i przemysłowcy pruscy, dzierżawiący na Warli i Mazurach liczne i obfitujące w zwierzęta tereny myślistwe. Z najbardziej znanych i najczęściej spotykanych gatunków zwierząt łownych możemy wymienić: jelenie, dziki, lisy, sarny, borsuki, kuny, wydry, tchórze, zające oraz różnego gatunku ptactwo błotne z kaczkami dzikimi na czele. Żyły te zwierzęta i rozmnażały się w lasach Warmii i Mazur, a szczególnie w puszczech piskiej, boreckiej i myszyńskiej, stanowiących jeden z największych kompleksów leśnych w Europie środkowej.

Ludność miejscowa, z wyjątkiem może mieszkańców południowych powiatów dzisiejszego woj. olsztyńskiego nie posiadała broni, nie korzystała więc z możliwości polowania. Jedynie w wypadku samobrony przed szkodnikami, przede wszystkim dzikami i wilkami chwytali się najrozmaitszych sposobów urządzających „wilcze gniazda”, czyli rowy przykryte z wierzchu gałęziami, lub zastawiając „żelaza” na szkodników. Do liśso natomiast zabierano się nieco w inny sposób. „Myśliwi” ustalali najpierw rozmieszczenie wylotów lisich jam. Zasypany ziemią wszystkie z wyjątkiem dwóch. W jednej z nich rozpalano ogień i kierowano dym do wnętrza jamy, a przy drugim, nie zasypianym otworze stał „myśliwy” z workiem, do którego wpadał oślepiiony i oszołomiony dymem lis. Na kuropatwy zakładano sidła z białego końskiego włosia.

Najwięcej szkód w gospodarstwie wyrządzały wilki, które porwały świnie, owce i cielęta i o których mówiono w okolicach Ostrody: „ziki na chalupę wleźli i wachali co będzie gotowane” oraz dziki przed którymi, w ochronie upraw zbożowych i okopowych „ogień palimy na polu i psy wiążemy, aby po-

NOWY KONKURS „ŻYCIA”

Kto z kim?



PRZEDSTAWIAMY WAM, Czytelnicy, dziesięć par historycznych i literackich. Nasz konkurs nie uznaje jednak klasycznej jedności miejsca i czasu, dlatego też te pary są trochę pomieszane. Nie dziwcie się więc, gdy u boku Otella ujrzyście Olenkę Billewiczównę, bo zadaniem waszym będzie odnaleźć Kmicica i zwrócić mu ukochaną a przy okazji dostarczyć Desdemonę jej czarnolicemu kochankowi, by tenże mógł ją własnoręcznie udusić. Cóż, miłość jest nieobliczalna...

Oczywiście, tych przykładów w naszym konkursie nie ma.

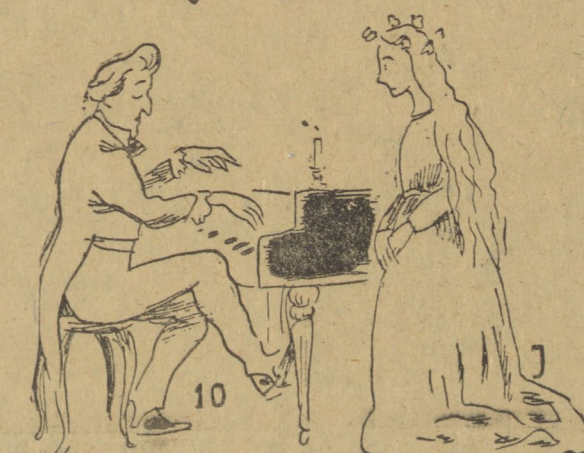
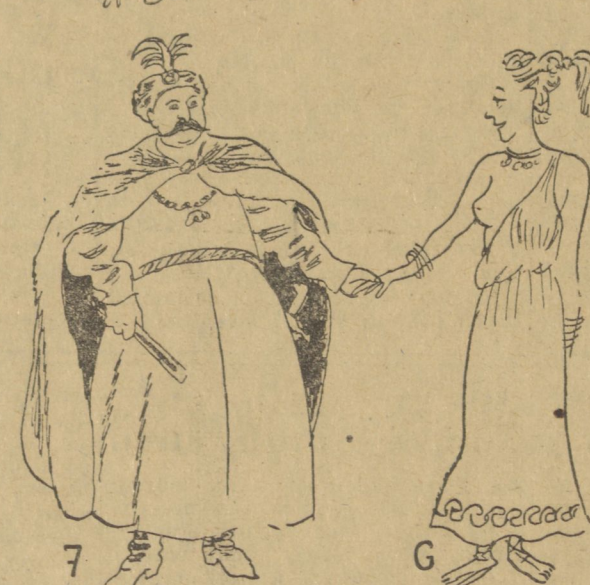
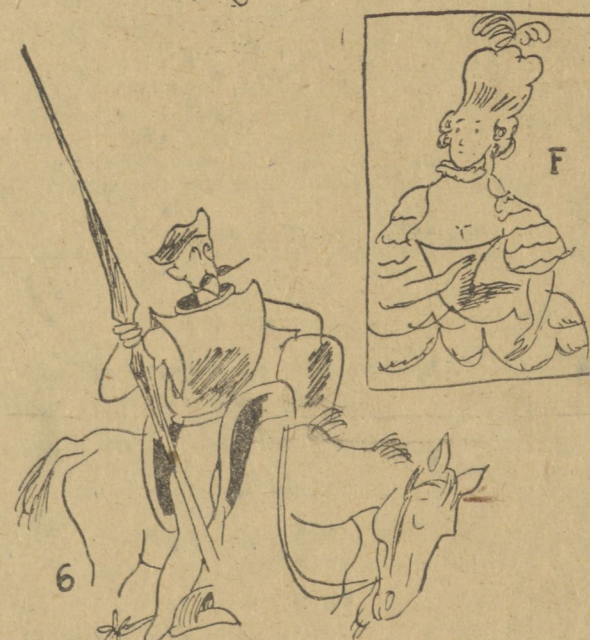
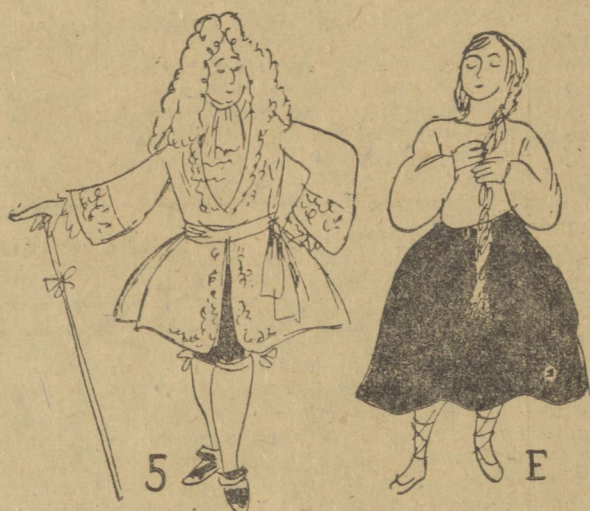
Te, które są, przedstawiamy, oznaczając męskie polowy cyframi, żeńskie — literami a dla ułatwienia podajemy imiona dam. Oto one:

Dulcynea, Dalila, — George Sand, Halka, — Madame Pompadour, — Piękna Helena, — Maria Vetsera, — Marysiénka, — Ofelia.

A więc drodzy Czytelnicy, czerpieć wzory z dzieł klasycznych i historii. Wpiszcie na załączonym kuponie obok imienia kobiety — właściwą literę, którą oznaczona jest ona na rysunku oraz odpowiednią cyfrę i imię mężczyzny — tak by właściwie skojarzyć pary i przywrócić im zgubione w konkursie szczęście.

Wypełniony kupon odesłajcie do Redakcji „Życia”, Warszawa, Marszałkowska 3/5 z adnotacją: Konkurs „Kto z kim?” i czekajcie jednej z wielu nagród.

rys. Charlie



Kupon konkursu

Litera	Kobieta	Cyfra	Mężczyzna
	Dalila		
	Dulcynea		
	George Sand		
	Halka		
	Julia		
	Piękna Helena		
	Maria Vetsera		
	Marysiénka		
	Ofelia		
	M-me Pompadour		

BAJECZKA O BAJCE

Ostatnio ukazało się utworzenie „Lokomotywy” Juliana Tuwima. Piękna ta książeczka z kolorowymi ilustracjami, zwraca uwagę w okresie przedświątecznym cieszyła się wielkim powodzeniem. Ale wyobraźmy sobie, że „Lokomotywa” wydrukowana jest w „Życiu”. Co się dzieje w ciągu najbliższych dni? — Oczywiście nadchodzą listy. Oto one.

LIST 1

Obywatelu Redaktorze!
Dziwi nas, że tak poważnie i decydująco o rozwoju całej naszej gospodarki sprawy kolejnictwa, opisuje się w niepowodzonych wierszach, które wypaczają istotę naszej pracy, które w złym świetle przedstawiają wysiłki ogromnej większości kolejarzy. Mamy na myśli wiersz „Lokomotywa”, a zwłaszcza uderza nas i dziwi jego początek:

„Stoi na stacji lokomotywa.
Ciężka, ogromna. I pot z niej spływa.”

„Tusła oliwa”.
Jakże można publicznie rozgłaszać w gazetach, które czytają także wrogowie naszego ustroju, jakiego typu lokomotywa stoi właśnie na stacji (że ciężka, ogromna). Poza tym ładnym sprasowaniem, z parowozu naszej dykcji nie spływa oliwa na ziemię, jak można się z wiersza domyślać. My walczyliśmy z marazmatami i w ogóle ciekaw jesteśmy, skąd autor wziął informację na ten temat. Są to wiadomości łendyjskie i szkoda, że przed wydrukowaniem ob. Tuwim nie uzgodnił ich w naszej dykcji.
Dyrektor

LIST 2

„W związku z wierszem krytycznym J. Tuwima zatytułowanym „Lokomotywa” Ministerstwo wyjaśnia, że rzeczywistość znajduje się jeszcze sporo parowozów, z których na skutek nieodpowiednich uszczelnień spływa i marnuje się oliwa. Dziękujemy za zwrócenie nam na ten fakt uwagi.
Ministerstwo Kolei

LIST 3

Oburzeni jesteśmy przejawianiem i przedstawianiem faktów, dotyczących naszych parowozów w wierszu pt. „Lokomotywa”. Czytamy tam bowiem m. in.:

„Już ledwo sapie, już ledwo ziple
A jeszcze palące węgiel w nią sypie.”

Widac z tego, że autor zupełnie się nie zna na kolejnictwie i nigdy nie był maszynistą. Jeśli parowóz — jak obrazowo pisze ob. Tuwim — „już ledwo sapie, już ledwo ziple” oddajemy go do remontu okresowego, wycupując z eksploatacji. Prosimy o sprasowanie i wycupienie konsekwencji w stosunku do autora.

Kierownik Działu Konserwacji

LIST 4

„Reżimowa propaganda zachłystuje się rzekomymi sukcesami swojej gospodarki. Wiele się też pisze o rozbudowie komunikacji. Ale czasem niewiarygodny cenzor, który za swą pomyłkę z pewnością zimuje teraz na Syberii — przepuścił słowa prowdy. Oto co np. czytamy w publikowanym na tak zwanych łamach wierszu niejakiego J. Tuwima pt. „Lokomotywa”:

„I pełno ludzi w każdym wagonie.
A w jednym krowy, a w drugim konie.”

Taka jest komunistyczna rzeczywistość w Polsce! Doszło do tego, że stłoczeni ludzie podróżują razem z bydłem!

Sluchacz „Głosu Ameryki”

LIST 5

Dziwi nas, jak można w Polsce Ludowej drukować i rozpowszechniać wiersze tak sprzeczne z naukowym światopoglądem i zdrowym rozsądkiem, jak „Lokomotywa” podpisana przez Juliana Tuwima. Czytamy tam, że

„...chodzą przysięgające ciętów
I każdy zjadłby tysiąc ciętów...”

To jest oczywiście absurd! Opracowane przez nas kondycyjne normy żywienia dla kadry sekcji ciężkoatletycznych przewidują ok. 6-7 tysięcy kalorii dziennie, w której to sumie kalorii mieści się najwyżej 6-7 ciętów sporządzonych wg obowiązującej receptury Departamentu Żywności Zbiorowego MHW nr 1789WAD/14-1951. Jedzenie większej ilości ciętów może tylko spowodować spadek formy lub równie szkodliwe dla zdrowia dolegliwości żołądkowe.

Sportowa Komisja Lekarska

LIST 6

Dziwi nas, że ludzie nie znający się na sporcie zabierają się do pisania na ten temat wierszy. Mamy na myśli J. Tuwima i jego wiersz pt. „Lokomotywa”. W tym wierszu, gdy omawia tam problemy ciętów (domyślamy się, że chodzi o ZS „Kolejarz”) pisze dosłownie:

„...I każdy nie wiem jak się wytył,
To nie udułgwał, taki to ciętów!”

Przed wszystkim jak autor wiersza nie wie, jak się wytył, to niech na ten temat nie pisze, a po drugie widac tu wyraźną negację nie-spożyte sily tkwiącej w kolektiwie, który jak się wytył, wiele może zdołać, nawet bez takiego bodźca natury materialnej, jak przytoczone w wierszu cięty. Poza tym wiersz zupełnie abstrahuje od stałych postępów, czynionych przez naszych wychowawców, dla których rzeczy wczoraj niemożliwe, dziś stają się zupełnie możliwymi dzięki pracy trenera Kapuściaka.

Rada Trenerów

LIST 7

Natychmiast po przeczytaniu wierszowanej notatki o kolejnictwie pt. „Lokomotywa” rozpoczęliśmy energiczne badania, celem wykrycia tych maszynistów pociągów osobowych, którzy ile wytyłają się ze swych obowiązków i szarpają wagonami przy ruszaniu. Patrz fragment:

„Russzyła maszyną po szynach ospale.
Szarpnęła wagony i ciągnie z maziem.”

I kłęb się, kłęb się kole za kole!”
Dochodzenia są w toku. Analizujemy także, dlaczego niektóre lokomotywy ruszają z maziem. Jest to prawdopodobnie rezultatem złej metody oszczędzania węgla i braku odpowiedniego ciśnienia w kotle. Na razie ukarujemy siedmiu maszynistów naszego okręgu zdjęciem premii.

Dyrekcja Okręgowa

LIST 8

Mamusia kupiła mi na gwiazdke książeczkę z obrazkami. Ma ona tytuł „Lokomotywa”. Bardzo mi się ona podoba, a młodszy braciarek, Stas, który ma dopiero od trzech dni cięty lata, umie ją całą na pamięć. Strasznie mi chcieli żeby wszystkie wierszyki dla dzieci były takie ładne!

Kazik Tarasewski
klasa 2

I jeszcze raz wyjaśnienie. Tych listów redakcja nie otrzymywała. Tych tylko dlatego, że w „Życiu” nie drukowano „Lokomotywy”!

(bar.)

Autentyczna Styka

Kazio dostał mieszkanie. Gdy minął szat przeprowadzki, gdy skończył się ustawianie, cyklowanie, pastowanie, reperowanie i reklamowanie, postanowiłem go odwiedzić. Przyjął mnie z otwartymi rękami. Mieszkanie ładne, nowe, czyste. Dwa pokoiki z kuchenką. Meble ot. takie sobie, z CHPD. Tylko te ściany. Puste i gołe, jak w Teatrze Narodowym...
— Musisz sobie sprawić jakiś obraz — zaproponowałem.

— Obraz? — ucieszył się. — Świetnie. Możemy zaraz iść. Chodź ze mną, bo ja się na tym nie znam.
— Do „Desy”? — spytałem natychmiast.

— Jeszcze na loterii nie wygrałem — obruszył się. — Chcę coś taniejszego. Ja cię zaprowadzę.

Zaciągnął mnie na bazar na Stalową. Między straganami wisiały kotki i utany. Arabki z brunatnymi biustem i polowaniami na wilki, włoskie krajobrazy i kompozycje z napisami:

„Mój się zimną wodą”. Ramy lśniły politurą, srebrem i złotem.

— Chciałem jakiś obrazek — zagaił Kazio.
Sprzedawca obejrzał go od stóp do głów.

— Pan szanowny życzy sobie coś artystycznego? Proszę bardzo, autentyczna Styka — wskazywał palcem Arabkę.

— Dlaczego ona taka piegowała? — spytałem, patrząc na czarne centki, zdobiące twarz uśmiechniętej pigminki.

— Piegowała? Skądże! To muchy popatrzyły — skontatował mistrz, plując na palec i rozmazując punkty. — Oryginalna rzecz, przedwojenna, mało używana. Kupiłem go od jednego z Garwołina, jak restaurację likwidował. Niedroga. Trzysta złotych.

— Widzi pan... — Kazio uśmiechnął się z zazenowaniem — ja jestem żon ty...

— Iaa, jeśli tak, to zaraz znajdziemy coś innego. Może ten alpejski widoczek? Albo „Przybyli ulani pod okienko”? Pan szanowny nie służyl nigdy w kawalerii?

Trochę dziwiłem się tym ulanom, że chcieli przybyć pod okienko, w którym tkwiła taka panienka i nie mogliem zrozumieć, jak mogli dzielny wojak galopować na trzynogim rumaku, ale nic nie mówiłem. Kazio zaś ciągle był niezadowolony.

— Mam coś dla pana! — handlarz stuknął się palcem w czoło. — Coś ze współczesnego malarstwa. Nastroczne!



W tym tygodniu sprzedalem. Tu wyciągnął zza budki ten oto obrazek.

Kazio mi zabłysły oczy, ale udawał niezadowolonego.

— Panie kochany, kto dzisiaj nosi takie krótkie sukienki! — grymasił. — Albo ta latarnia. Dziś są elektryczne!

— Co pan wybredza, jak stara panna! — zirykował się handlarz. — Za 150 złotych chciałby pan balową suknię i neon? Lepiej niech pan obejrzy marynarkę tego galanta. Czysta wełna! Angielska pepta. No, sto trzydzieści złotych. Bierz pan!

Usiłowałem protestować. Kazio kopnął mnie w kostkę i syknął:

— Psst, nie psuj mi interesu!

— Ale to szmira! — szepnąłem.

— A mnie się podoba — odpąpnął z gniewem.

Nie odezwałem się więcej. Kazio zapłacił, wziął obraz i poszedł. Pożegnaliśmy się dość chłodno.

W tydzień później zobaczyłem go na ulicy. Przywitał mnie serdecznie i przemocą zaciągnął do siebie.

Muszę ci pokazać, jak urządziłem sobie mieszkanie — mówił.

Pozwoliłem się prowadzić, czując, że nic dobrego z tej wizyty nie wyniknie. W przedpokoju zdjętem palto. Otworzyłem drzwi a wtedy...

Z szafy spojrzeli na mnie szklane oczy wielkiej gipsowej sowy.

Ze ściany ruszył ku mnie ulan, galopujący na trzynogim koniu.

Z kątą zaczęła do mnie mrugać czekoladowa Arabka, potrząsając piegowanym biustem.

Znad tapczanu zeskoczył apasz w pepitkowej marynarce.

Ryknąłem i rzuciłem się do ataku. Ziapałem sowę za łeb, trznąłem nią w ulanę, wyłamałem nogę z krzesła, popruteł biust Arabki, rozkwasiłem gołę apaszowi. Ocknąłem się z niemym uczuciem chłodu. Leżałem na tapczanie, a Kazio polewał mnie wodą.

— Jak się czujesz? — pytał troskliwie?

— Już dobrze! — odpowiedziałem, patrząc pod ścianę, gdzie piętrzyły się szczytki sowy i obrazów.

— Ale ty jesteś gwałtowny! — dziwił się Kazio. — Narobiłeś mi szkody. I co ja teraz powiesz na ścianie?

— Powiesz się sam! — mruknąłem.

Jutro pójde z aim na subskrypcję grafiki.

IBIS

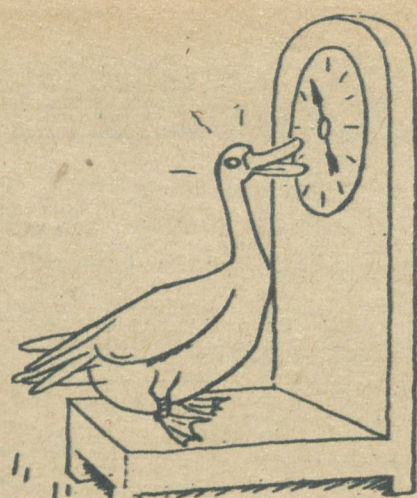


POLSKIEJ GRAFIKI ARTYSTYCZNEJ

HUMOR



— I teraz sam widzisz, co wyszło z twojego genialnego pomysłu przetrzymywania choinki pod schodami w piwnicy!



— Niestety — znów mi przybyło 1 1/2 kilo! Jeżeli tak pójdzie dalej to prawdopodobnie nie przeżyję tych świąt.



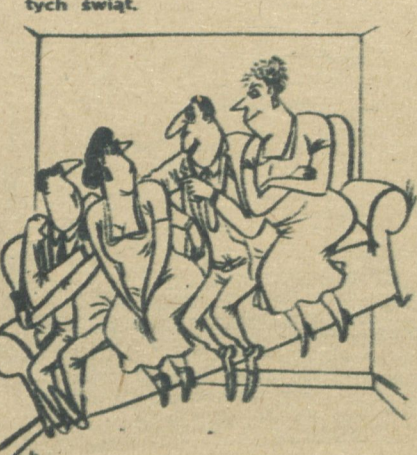
— Okropnie! W przeciągu ostatniego tygodnia przybyło mi ponad 5 kilo!



— Czy kciorek włosków odpowiada szanownemu panu?



— Już cię przecież Reksiu, przeprosiłem — i cóż więcej mogę zrobić?



— Siedzi się na tej kanapie trochę niewygodnie, ale kiedyś ją kupowali, liczyliśmy na przydział nieco większego pokoju.



— Pomysł rzeczywiście kapitalny — ale czy nie byłoby prościej załatwić dziurę na dachu!



Przedświestrowe przygotowania w czasach nieco zamierzających.

NOWE ZNACZKI

Na pierwszą połowę lutego przyszłego roku — pocztą polską projektuje emisję nowej obiegowej serii znaczków „Pomniki Warszawy”. Komplet składać się będzie z dziesięciu wartości: 5 gr — Syrena, 10 gr — Dzierżyński, 15 gr — król Zygmunt III, 20 gr — Pomnik Bractwa Broni, 40 gr — Kopernik, 45 gr — Maria Curie-Skłodowska, 60 gr — Adam Mickiewicz, 55 zł — Jan Kiliński. Projekty brzoż naczków tej serii: 0,15, 0,45 i 1,55 zł — pracował Ryszard Kleczewski, pozostałych — E. John. Wszystkie zaś będą wykonane techniką stalorytniczną w formacie 25,5x11,25 mm. Dziś zamieszczamy 5 projektów. inż. Z. R.



Tylko dla dzieci



52 KONKURS DODATKU ILUSTROWANEGO

Wszystkie dzieci kochają wierszyki autora, z których ilustracje zamieszczamy powyżej. Na pewno nie trudno będzie im odgadnąć imię i nazwisko tego autora oraz tytuły tych wierszyków z których wzięto powyższe ilustracje. To jest zadanie najmłodszych uczestników naszego konkursu. Rozwiązania konkursu nadsyłać należy do dn. 4 stycznia 1955 r. pod adresem: „Życie Warszawy”, W-4a ul. Marszałkowska 35 z dopiskiem: 52 Konkurs Dodatek Ilustrowanego. Za trafne rozwiązania będą przyznane drogą losowania nagrody książkowe. U w a g a: rozwiązanie konkursu z dn. 12 grudnia oraz listę nagrodzonych zamieszczamy w bieżącym numerze „Życia”.

Moda



MODEL 1. Po prostu sukienka bez kołnierzyka z gładkiej wełny. Rękawy kimcnowe 7/8. Przedłużone na spódnicę zapięcie (2 guziki poniżej talii, 1 — wyżej) Wąska spódniczka z fałdą w tyle. Szeroki zamazowy pasek. MOD. 2. Elegancka sukienka z jasnej wełny przybrana drobnymi zakładkami. Długie wszywane rękawy. Szeroka spódniczka ułożona w fałdy. MOD. 3. Sportowa sukienka z przerabianego samodziału. Zapięcie przedłużone na spódnicę, wszywane rękawy 7/8. Mały szalowy kołnierzyk. U góry dwie nakładane kieszenie.

WESOLO CYCH I A T!

DODATEK ILUSTROWANY DO DZIENNIKÓW:
ŻYCIE WARSZAWY
ŻYCIE BIAŁOSTOCKIE
ŻYCIE CZĘSTOCHOWY
ŻYCIE LUBELSKIE
ŻYCIE OLSZTYŃSKIE
ŻYCIE RADOMSKIE

ŻYCIE WARSZAWY

Nr 52 (308)

24 grudnia 1954



W pierwszą rocznicę



Rok temu umarł Julian Tuwim — pisarz, który przez z górą czterdzieści lat swej twórczości dostarczał czytelnikom najgłębszych wzruszeń poetyckich. Niezwykle piękno jego słowa, wysoki walor idealów humanistycznych, które głosił, zjednały mu miłość całego narodu. Tuwim był także ulubionym poetą dzieci, które cieszą się jego prześlicznymi wierszami specjalnie dla nich napisanymi. Właśnie nakładem „Czytelnika” ukazał się pełny zbiór tych wierszy. Ta ładna książka z pewnością stanie się powodem wielkiej radości dzieci, gdy znajdą ją one pod choinką.



— Uuuu... przeciągły gwizd nadjeżdżającego pociągu przetrnę za chwilę huk wystrzałów. Trzej bohaterowie „Pokolenia” — nowego filmu polskiego (w/g znanej powieści B. Czeszki) zbierają się do niebezpiecznego skoku.

»POKOLENIE«



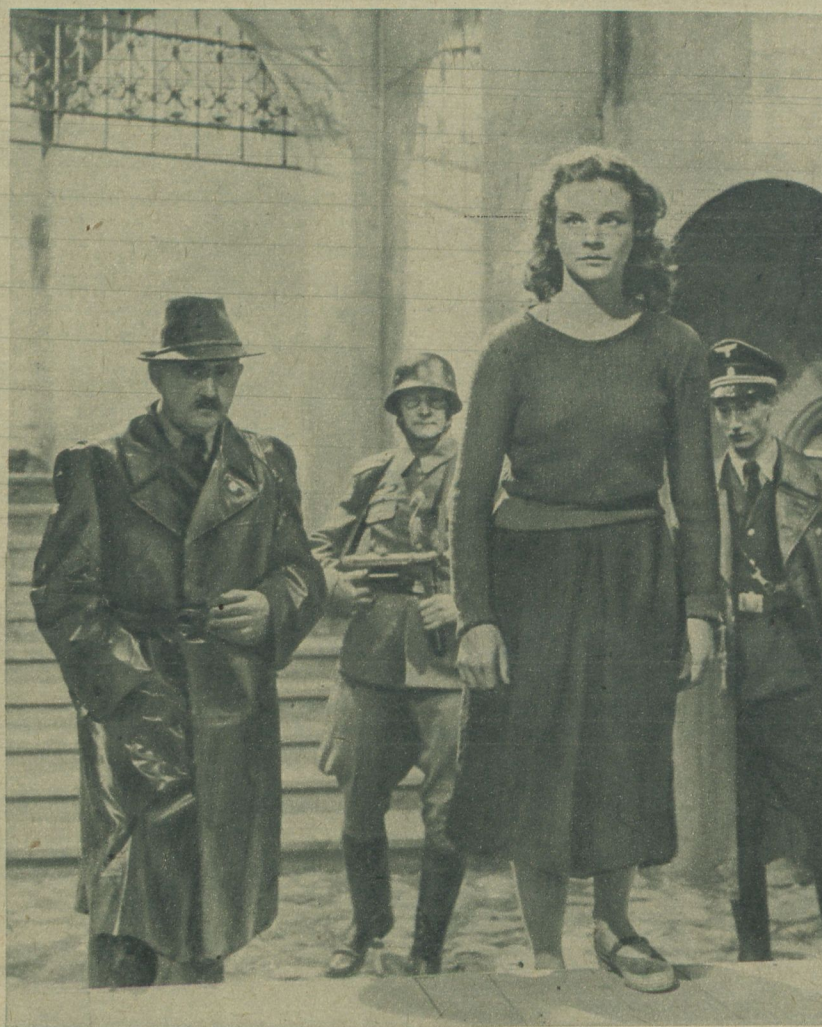
Bojowy towarzysz „Dorota” — potrafi być też... Ewą, cudną dziewczyną, w której Stach rozkochał się na zabój.

Krótko trwało szczęście młodych. Jedną jedyną noc. Rankiem do mieszkania Doroty wtargnęło Gestapo. Stach, który cudem uniknął aresztowania, będzie walczył dalej...

Nie wątpimy, że premiera „Pokolenia” w dn. 17.I będzie dużym wydarzeniem i na pewno wywoła gorące dyskusje.



Stach i Jasio — Tadeusz Janczar i Tadeusz Lomnicki. Pamiętacie ich na pewno z „Piątki z ulicy Barskiej”. Teraz znów stanęli razem przed kamerą.



NA NARTACH BEZ ŚNIEGU



Złośliwy pech prześladowuje narciarzy. Styczeń „za pasem”, a śniegu ani na lekarstwo. I jak tu trenować? A jednak okazuje się, że można skakać na nartach nawet... bez śniegu. Czyżby? Przypatrzmy się (zdjęcie wyżej) narciarzowi, który „posuwa” z rozbiegu wyłożonego specjalnymi igelitowymi matami z tzw. PVC. Tajemnica tych mat polega na: chemicznej kompozycji materiału, częstym polewaniu skoczni wodą oraz smarowaniu nart... woskiem do podłogi. Sztuczny śnieg, którym wysypuje się boki skoczni, wygląda zupełnie, jak wióry. Przywozi go się na skocznię w workach (zdjęcie niżej). Na skoczni w Oberhof (NRD) wyłożonej matami z PVC uzyskano ostatnio skoki długości ok. 42 metrów.



Nadeszła wymarzona chwila... Drzewko rozjarzone świeczkami, paczki i paczuszki przewiązane u jego stóp, uroczysty nastrój — słowem nagroda za grzeczność, postępy w nauce...
Fot. E. Trzeciakowa i E. Hartwig



„Ja proszę o dużą lalkę...”, „... a ja o prawdziwy pociąg...”. Dziadek Mróz z budapeszteńskiego sklepu pilnie notuje dziecięce prośby. Może by i nasze sklepy pomyślały o takim „dziadku”.
Fot. CAF



No, na konkurs chopinowski jeszcze „trochę” za wcześnie, ale kto wie, co będzie za lat kilkanaście? W każdym razie zdjęcie mówi wyraźnie, że parolętnia Bożenka spełnia już rolę pedagoga.
Fot. CAF



Skoro „zaczepiliśmy” o muzykę, warto wspomnieć o I konkursie gry solowej na instrumentach dętych. Na takim oto fagocie „wydmuchał” I miejsce w swej klasie Paweł Podleska ze Stalinogrodu.
CAF fot. Motil



Miejmy nadzieję, że w tym roku dzieciarnia mniej będzie narzekała na brak lyżew, a rodzice odetchną z ulgą uwolniwszy się od „marudzeń” pociech. Fabryka w Myszkowie obiecała jeszcze w tym roku oddać 100 tys. par lyżew.



Zakłady „Bałtyk” w Gdańsku postarały się o słodkie święta. Popatrzcie ile smakowitych czekoladek czekało na wysyłkę. Zaloga „Bałtyku” też zresztą zasłużyła na „gwiazdkę” — wykonała plan roczny już 4 bm. — a do końca roku da jeszcze dodatkowo 450 ton cukierków. No, ale chyba czekolady „bałtykowcy” na gwiazdkę by nie chcieli...
CAF fot. Kosycarz